

ks. Stanisław Dzieriele:

Curriculum vitae Stanisława Kiałki

-1-

SK 1. III. 1

## Rodzinne strony

Choć Stach Kiałka został legendą podziemia wileńskiego, to przecież wydała go ziemia rawicka. Stanowiła ona od prehistorycznych czasów aż po nasze dni teren pograniczny: najpierw między dwoma plemionami słowiańskimi Polan i Ślęzan, a po śmierci Bolesława Krzywoustego między dwoma ważnymi dzielnicami Polski i wreszcie między dwoma państwami, w miarę jak Śląsk popadał w zależność od Pragi, czy od Wiednia. A kiedy na skutek rozbiorów Polski ziemia rawicka dostanie się pod panowanie Prus, w których władaniu już wcześniej znajdował się Śląsk i zniknie granica państwa między Rawiczem a Wrocławiem, to pozostanie inna linia podziału: narodowościowa. Ziemia rawicka stanie się frontowym przyczółkiem w walce o tożsamość narodową przeciw inwazji żywiołu niemieckiego na Wielkopolskę. Z pewnością fakt bycia na rubieży wzmacniał poczucie tożsamości szczepów Polan rozsianych w dorzeczu Orli i Dąbroczny. Toteż mimo nacisków germanizacyjnych podczas zaborów, a zwłaszcza w okresie „Kulturkampf” ziemia rawicka pozostanie w zdecydowanej większości polską. Najznacniejsze skupisko Niemców zaistnieje w samym Rawiczu. Zaraz po I wojnie światowej stanowili oni 35% ludności. Był to jednak skutek raczej zaszłości historycznych niż niemczenia się Polaków. Rawicz zostaje założony przez Adama Przyjemskiego w r. 1638 i zasiedlony przez uchodźców ze zniemczonych terenów Śląska i z Czech, przeważnie protestantów. Toczyła się wówczas wojna trzydziestoletnia. W dużej mierze była to wojna katolicko – protestancka. Czechy i Śląsk należały do katolickich Habsburgów; stąd wielu protestantów z tych krajów szukało schronienia w katolickiej wprawdzie, ale tolerancyjnej Polsce, nie dotkniętej przy tym wojenną nawałą. Dość szybko powstanie w Rawiczu liczący się ośrodek przemysłu tkackiego. W XVIII i XIX wieku sukna rawickie znane będą na rynkach Rosji, a nawet Chin. Podczas zaborów w roku 1881 stanie się Rawicz siedzibą powiatu i pozostanie nią aż do czasów gierkowskich. Najnowsza reforma administracyjna przywróciła mu dawną rangę.

Nie należy jednak zapominać, że historia ziem w dorzeczu Orli i Dąbroczny jest znacznie starsza niż Rawicz. Jej centralnym ośrodkiem za pierwszych Piastów był gród Czestram położony na lewym brzegu rzeki Szpatnicy. Po dziś dzień zachowały się usypane z ziemi ślady jego obronnych wałów i rowów. Bulla papieża Innocentego II z 1136 roku wydana arcybiskupowi gnieźnieńskiemu wymienia Czestram (Golejewko) wśród grodów płacących dziesięcinę. W tym czasie i aż po rok 1252 był Czestram nawet grodem kasztelańskim.

Następnie jednak jego znaczenie maleje i ośrodek kasztelanii przenosi się w roku 1267 do Dubina .

Pod koniec wieku XIV ustali się podział na powiaty i wówczas dawna kasztelania zostanie przydzielona do powiatu kościańskiego w woj. poznańskim. I tak już pozostanie aż do momentu gdy podczas zaborów Rawicz, jak powiedzieliśmy wyżej, otrzyma rangę miasta powiatowego. Od tego czasu możemy mówić o ziemi rawickiej.

Najdawniejszymi właścicielami tych ziem byli Awdańcy należący do najznacniejszych rodów Wielkopolski od XI do XIV wieku. Wywodzili się prawdopodobnie z Danii z rycerskiego rodu Audunów lub Awdunów. To imię było rozpowszechnione wśród duńskich Wikingów. Już Mieszko I nawiązał bliskie kontakty z państwem duńskim. Jego córka Świętosława była żoną króla Swena I Widłobrodego i matką Kanuta II Wielkiego, który podbija Anglię, Norwegię i część Szwecji (1018 – 1035). Mógł więc łatwo któryś z Awdunów przystać do drużyny, czy nawet trafić na dwór księcia Polan i odznaczyć się w jego służbie, skoro tak <sup>rod</sup> rychło zdobył liczne włości i znaczenie.

## Rodzinna wieś

Słupia, średniej wielkości wieś położona 7km na wschód od Rawicza, wkracza na karty, pisanej -gęsim piórem- historii, we wrzawie zbrojnego tumultu. W 1271r. biskup wrocławski Tomasz, w liście do arcybiskupa gnieźnieńskiego Janusza, donosi o najeździe rycerstwa wielkopolskiego na Milicz i wsie okoliczne należące do biskupów wrocławskich. W napadzie tym brali udział między innymi Ziemięta kasztelan dubiński i Jan ze Słupi, obaj z rodu Awdańców. Jan da początek nowej linii rodzinnej pod nazwiskiem Słupskich. Nie znamy dalszego ciągu burzliwego epizodu. Możemy snuć jedynie domysły. Z pewnością arcybiskup gnieźnieński nie puścił płazem tego zbrojnego incydentu. Miał w rękę skuteczną sankcję. Była nią kościelna ekskomunika. I chyba nie cofnął się przed jej zastosowaniem. Żeby się od niej uwolnić, dwaj Awdańcy mieli prosty sposób: ofiarować kościołowi znaczną jałmużnę: była nią Słupia. Żeby jednak jej właściciel Jan nie ponosił sam kosztów niechlubnej wyprawy, jego krewniak Ziemięta musiał mu obiecać następstwo po sobie na dubińskiej kasztelanii. Nie są to tylko czcze domysły. Faktem jest bowiem, że między rokiem 1271, a 1357 Słupia przeszła na własność kapituły gnieźnieńskiej. Faktem jest również, że kasztelanem dubińskim po Ziemięcie zostaje jego krewniak Jan ze Słupi. Nasze domysły przez analogię znajdują oparcie w innym historycznym wydarzeniu. 30 lat wcześniej Konrad Mazowiecki kazał powiesić swego kanclerza ks. Jana Czapłę - kanonika płockiego. Został za to obłożony klątwą przez arcybiskupa gnieźnieńskiego. Żeby nie podzielić losu Bolesława Śmiałego, ambitny, ale porywczy Konrad upokarza się i za pokutę powiększa znacznie dobra kościelne arcybiskupstwa gnieźnieńskiego wokół Łowicza.

Po raz wtóry w źródłach pisanych pojawia się Słupia w roku 1310 w dokumencie księcia głogowskiego Henryka IV ustanawiającym tzw. dystrykt poniecki i następnie w roku 1357 w dokumencie króla Kazimierza Wielkiego, gdzie wymienia się Słupię jako własność kapituły gnieźnieńskiej.

Kościół w Słupi, jak uważa ks. prof. Józef Nowacki w swoim dziele „Dzieje Archidiecezji Poznańskiej”, powstał przed rokiem 1271, gdy Słupia znajdowała się jeszcze w rękach Awdańców. Przemawiają za tym dwie racje. Pierwsza to ta, że w Polsce wiek XIII jest okresem intensywnego budowania kościołów przez rycerstwo w swoich dobrach. Po wtóre,

kościół w Słupi , po jej przejęciu na własność , nie mogła budować kapituła, która już miała kościół swego patronatu pod bokiem w Czestramie – Golejewku.

Pierwszy kościół drewniany przetrwa do połowy XVII wieku. Nowy , również z drewna, postawi około 1650 roku Tomasz Ujejski, który zanim w 1677 roku wstąpił do jezuitów był senatorem , sekretarzem królów Władysława IV i Jana Kazimierza, pomocnikiem kustosa kapituły gnieźnieńskiej (1647r.). W roku 1656 Jan Kazimierz mianuje go biskupem kijowskim, którego to urzędu nie objął z powodu kozackiej rebelii; a w roku 1658 zostaje kustoszem kapituły gnieźnieńskiej. Ten drugi kościół spłonął 27/07/1842r. Wraz z nim spaliły się plebańskie zabudowania. Budowa nowego, murowanego wraz z wieżą i organami ciągnęła się do roku 1851. Fundusze pochodziły głównie ze zbiórki ogłoszonej w całym państwie pruskim.

To, że pierwszy kościół w Słupi pobudowano prawdopodobnie przed rokiem 1271, nie oznacza wcale, że już wtedy istniała tam parafia. Gniezno nie kwapiło się z jej zakładaniem, mając w pobliżu zależną od kapituły parafię w Czestramie, zwłaszcza, że były to czasy kiedy łatwiej było znaleźć fundatora do budowy kościoła niż plebana do prowadzenia parafii. Pierwszą wzmiankę kronikarską na ten temat znajdujemy w Aktach spraw sądowych na rok 1426. Pleban słupski Piotr wiedzie spór z plebanem dłońskim Samborem. W tychże Aktach pleban Słupi Wawrzyniec w roku 1436 procesuje się o zboże z plebanem czestramskim Alberykiem. Jednak przez długi jeszcze czas parafia słupska będzie bardziej czy mniej zależna od Czestramia . Pełną autonomię na stałe uzyska po pobudowaniu nowego kościoła przez Tomasza Ujejskiego aktem biskupa poznańskiego Wojciecha Tholibowskiego z 15 X 1663 roku. Do słupskiej parafii miały należeć oprócz Słupi: Stwolno, Sikorzyn, Ugoda, Zawady, Zielona Wieś, Łąka oraz młyny, słupski i binkowski. Zanim jednak dekret wszedł w życie w tymże 1663 roku umiera biskup Tholibowski, a pleban czestramski wszczyna spór o wszystkie przyległości nowej parafii poza samą Słupią. Będzie się on toczył aż do roku 1721. Spór ten Słupia przegra całkowicie, tak że granice parafii obejmą jedynie tereny tej jednej wsi. Dawna kasztelania czestramska , będąca odseparowaną enklawą Gniezna na terenie diecezji poznańskiej , została w roku 1442 włączona do tejże diecezji. Słupia jako wieś nie przestała być własnością kapituły gnieźnieńskiej i tak już pozostanie aż do roku 1795 , kiedy to władze pruskie najpierw skonfiskują majątek kapitulny w Słupi , a w roku 1818 rozparcelują go na działki, które zostaną kupione przez 61 miejscowych gospodarzy.

Jak przedstawiało się zaludnienie Słupi? Pierwsze informacje na ten temat z II połowy XV wieku podają liczbę 253 mieszkańców, cyfra ta wzrosła w roku 1631 do 397, ale na rok 1673 spadła do 261. Można tu dopatrywać się skutków wojny 30 – letniej (1618 – 1648), która toczyła się wprawdzie w Niemczech, Czechach i na Śląsku, ale towarzyszące jej zarazy nie uznawały granic. Od końca XVIII wieku zaludnienie będzie stale rosło, by w 1914 roku osiągnąć stan najwyższy 1300 osób. Pewne wahnięcia zaznacza się w okresie obu wojen światowych.

W czasie pierwszej wojny z 236 mężczyzn powołanych do wojska, nie wróciło 44. W 1939 roku Słupia liczy 1125 parafian; z końcem II wojny jest ich nie całe 700. To skutek wysiedleń. Ale już w roku 1946 ta liczba wzrosła do 1015, by w roku 1949 spaść do 900 i na tym poziomie utrzymać się na stałe.

Słupia była z dawien dawna społecznie rozwarstwiona tak jak wszystkie wsie w całej Polsce. Wprawdzie konkretne dane mamy z połowy XVIII wieku ale z pewnością kilka wieków wstecz układy były podobne.

W roku 1728 wyglądało to tak:

- 22 kmieci posiadało przynajmniej 1 włókę ~ 60 morgów – ok. 15 h
- 5 kmieci posiadało około ½ włóki
- 20 zagrodników posiadało ¼ włóki
- 5 chałupników - bez ziemi
- 1 wójt – na 6 włókach
- majątek kapitulny 5 włók – a w roku 1767 już 10 włók

W roku 1796 mamy w Słupi:

- 14 kmieci – po 1 włóce ziemi
- 14 kmieci – po ½ włóki
- 19 zagrodników po ¼ włóki
- 15 komorników (chałupników) bez ziemi
- 1 rzemieślnik

Identyczny układ społeczny spotkałem między wojnami we wsi łowickiej, gdzie się urodził. Przetrwał on II wojnę światową. Fundamentem jego trwałości była niezniszczalna i niezawodna wartość jaką stanowiła ziemia. Trzonem społeczności wiejskiej byli kmiecie,

którzy prowadzili pełne gospodarstwo mające pół włóki i więcej. I nie odczuwało się żadnych barier klasowych wynikających stąd, że ktoś miał pół włóki, a ktoś inny dwie. Koligacje, pokrewieństwa, przyjaźnie w tej grupie były rzeczą zwyczajną. Pewne bariery istniały między tą grupą, a tymi co obrabiali tylko ćwierć włóki, lub jeszcze mniej. Spadnięcie z pierwszej klasy do tej drugiej oznaczało umniejszenie prestżu ale nie dyshonor. Konkretnym, widocznym znakiem przynależności do którejś z tych grup był koń. O ile do obrobienia ćwierci włóki wystarczył jeden, to do obrobienia połowy potrzebne były dwa.

Od dwóch poprzednich klas wyraźniej odstawała trzecia tzw. chałupników lub wyrobników. Nie posiadali oni ziemi, nieraz nawet grunt, na którym stał ich dom nie należał do nich. Żyli z sezonowej pracy najemnej u „gospodarzy” czy we dworach. Z nich rekrutowali się wiejscy parobcy i służące.

Jakie znaczenie dla ludności Słupi miał fakt posiadania własnego kościoła i własnej parafii? Na pewno samo w sobie stanowiło to jakąś nobilitację. Przez swoją parafię wchodziło się do kościelnych rejestrów, a więc do historii. Miało się swojego księdza, a pleban to był ktoś; organistę, który też był człowiek uczony; nauczyciela – no właśnie szkoła: to było okno na świat, nie tylko kościelny - oraz „hospitale”, dziś powiedzielibyśmy przytułek, gdzie dla człowieka samotnego, bezdomnego, zdartego wiekiem i chorobami znalazło się miejsce, by mógł po chrześcijańsku tzn. godnie umierać. Mimo niewątpliwych korzyści jakie niosła ze sobą parafia, nie był to czysty benefis. I kościół i szkoła i przytułek, choć miały pewne stałe uposażenie, wymagały nieraz wspólnej troski, stawiały zbiorowe problemy, uczyły odpowiedzialności za całą wspólnotę, wychodzenia poza teren własnych tylko interesów, własnej zagrody.

## Rodzinne gniazdo

Domu, w którym Stach Kiałka przyszedł na świat 7 września 1911 roku nie można nazwać wiejską chatą. Bo chata kojarzy nam się z małym drewnianym budynkiem mieszczącym ze dwie małe izby i niewielką sionkę, krytym słomianą strzechą. Tymczasem gniazdo Kiałków było zbudowane z porządnej cegły, kryte dachówką, mierzące 15,80 na 6 metrów, czyli 94,80 m<sup>2</sup> powierzchni. Stawiał go dziadek ze trony ojca, „na raty”. Starsza połowa: sień, kuchnia plus dwie izby pochodzi chyba z czasów, gdy dziadek przymierzał się do założenia rodziny, około roku 1870. Nie były to dzisiejsze czasy, kiedy małżonkowie planują rodziny – skąpo: jedno lub dwoje dzieci. Planował Pan Bóg, a On życie rozdziela hojnie. To też rodzina dziadka szybko rosła w liczbę. Mniej więcej co dwa lata jedno dziecko. W roku 1884 przyjdzie na świat Felicjan, spadkobierca fortuny. Po nim ujrzy światło dzienne jeszcze jedno dziecko. W sumie będzie ich siedmioro: dwóch chłopaków i pięć dziewczyn. Dzieci rosły nie tylko w liczbę ale i w lata. W rodzinnym gnieździe robiło się coraz ciasniej. Toteż dziadek postawi część nową z drugiej strony kuchni, w kierunku drogi. Dzięki temu przybędą dwie nowe izby prawie dwa razy większe od poprzednich. Na jednej z belek pod powalą widnieje data 1888, niewątpliwie rok budowy nowego skrzydła.

W takim domu przeżyje swoje dzieciństwo, swój wiek chłopięcy i parę lat młodości pierworodny syn Felicjana Kiałki i Katarzyny z domu Jaśkiewicz. Był dzieckiem bardzo żywym, bystrym, spostrzegawczym, ruchliwym. Kiedy stawiał pierwsze kroki, na pewno czuł się jak ryba w wodzie, odkrywając już samodzielnie coraz to nowe zakamarki tego dużego pomieszczenia przekraczającego zdecydowanie normy mieszkaniowe obowiązujące w Polsce Ludowej. A potem, kiedy nabył wprawy w chodzeniu i rozbudowany przez dziadka w 1888 roku dom nie miał już dla niego tajemnic, okazało się, zwłaszcza zimą, że był on znakomitym stadionem do ćwiczenia krótszych i dłuższych biegów, nawet z przeszkodami. A że przeszkody były twarde i nieustępliwe, więc kolizja z nimi kończyła się nie raz guzem. Traktował to jako „wypadek przy pracy”. Wystarczyło, że mama pocałowała obolałe miejsce i przestawało boleć. Oczywiście rychło nawet ta niemała przestrzeń okazała się zbyt ciasna dla tak żywego chłopca, zwłaszcza, że dość prędko przestał być jedynakiem. Rodzice Stacha podtrzymują rodzową tradycję i będą mieli ośmioro potomstwa: 5 chłopców i 3 dziewczynki. Nie zapominajmy jednak,

że rodzinne gniazdo wiejskie, to nie tylko dom mieszkalny, ale i cała zagroda. A zagroda Felicjana Kiałki była zaplanowana z rozmachem: na miarę 36 morgów czyli 9 ha ornej ziemi, a nawet ponad tę miarę. Bo ojciec Stacha nie zadowalał się uprawianiem roli. Hodował nadto pszczoły. Jego pasieka dochodziła nieraz do czterdziestu uli. Parał się również stolarką i ciesielstwem w zakresie potrzeb własnego gospodarstwa. Nie było to zwyczajne hobby – trzeba było szukać dodatkowych źródeł dochodów, by utrzymać na właściwym poziomie materialnym tak liczną rodzinę.

Tak więc zagroda musiała pomieścić i dom i stodołę i stajnię dla 2 koni, oborę na 6 – 7 krów, lamus na ziarno i różne narzędzia, warsztat stolarsko- ciesielski, chlewnię, różne szopy, komórki i schowki. Najważniejszym miejscem było podwórze. Wokół niego i frontem do niego sytuowały się wszystkie budynki. Miało ono kształt prostokąta o powierzchni około 500m<sup>2</sup>. Było zabudowane właściwie z dwu dłuższych boków. Gdy się wjeżdżało przez bramę posesji pod numerem 169 od głównej drogi (Rawicz- Pakosław), to prawą stronę podwórza wypełniał głównie dom mieszkalny. Niewielką przestrzeń między szczytem a drogą zajmowała studnia i wielki krzew leszczyny. Przy drugim północnym szczytzie mieściła się drewnutnia. Po lewej stronie głównym budynkiem była obora podzielona na dwie nierówne części, dla koni i dla bydła; bliżej drogi, równoległe do szczytu obory, chlewnia, a między nimi przejście do ogrodu. Do drugiego szczytu przylegało duże kwadratowe zabudowanie gdzie mieściły się: warsztat stolarski, pszczelarski sprzęt i kurnik. Od północy podwórko zamykało ogrodzenie z bramą pośrodku, równie szeroką jak wjazdowa. Prawie na wprost za tą bramą, stała stodoła, dla bezpieczeństwa w odległości kilkunastu metrów od innych budynków, bo była ona najbardziej łatwopalnym obiektem w zagrodzie. Dalej za stodołą było już tylko uprawne pole.

Podwórko i budynki, to jeszcze nie cała zagroda. Znaczną jej część zajmował ogród warzywno- owocowy, który rozpościerał się na tyłach obory i stolarni oraz wypełniał wolną przestrzeń przy stodole. A wśród drzew kryły się rzędy uli, w przyzwoitej odległości i od budynków, i od głównej drogi, dla ochrony przed pszczołami ludzi i domowych zwierząt. Cała zagroda okolona solidnym parkanem zajmowała nieco mniej niż morgę powierzchni. Zaraz za nią od zachodu odchodziła prostopadle do szosy wąska polna droga. Po obu jej stronach letnią porą falowały łany zbóż, daleko, szeroko, aż po linię widnokregu, gdzie się niebo styka z ziemią.



Bogaty więc i ciekawy był ten świat zagrody, który przyszło zwiedzać małemu Staszкови, gdy już umiał chodzić samodzielnie bez pomocy mamy. Rychło się dowiedział, że gdy wypuszcza się na podwórze konie do koryta z wodą, lub krowy, by je wygnać na pastwisko, albo lochę z małymi, to trzeba szybko uciekać do domu, lub przynajmniej na ganek. Wiedział również, że jeśli chce pójść do sadu lub warzywniaka, to do tego celu służy furtka między oborą a świniarnią. A gdy zlekceważył ostrzeżenia matki i próbował innego przejścia, od strony stodoły, przekonał się na własnej skórze, że pszczoły potrafią nie tylko produkować złocisty, słodki miód, ale również bronić go przed intruzami. Zauważył, że kiedy rodzice wybierali się końmi do miasta to po przejechaniu bramy skręcali na prawo i z tamtej strony wyczekiwał z niecierpliwością ich powrotu, już to dlatego, że mu się bez nich cknęło, już też, że wśród „sprawunków” znalazł się zawsze jakiś drobiazg dla niego. Jeśli za bramą skręciło się w lewo, docierało się do kościoła i szkoły. Tam szło się pieszo. Kto by na ~~te pół kilometra~~ <sup>ten kilometr</sup> zaprzęgał konie!

Tak wyglądało rodzinne gniazdo Stacha Kiałki między dwoma światowymi wojnami. A co pozostało dziś? Niewiele. Zniknął sad i warzywnik, i pracowite pszczoły. Nie ma obory ani świniarni, ani lamusa; na ich miejscu stanął świeżo pobudowany jednopiętrowy dom z miejskim komfortem. Zatarła się granica między dawnym sadem i podwórzem. Stary dom mieszkalny idzie w ruinę. Nie zmieniła się lokalizacja stodoły, ale sam obiekt był dwukrotnie przebudowywany: po pierwszej wojnie światowej i po drugiej; ostał się tylko, przy nie używanej już studni, bujny krzew leszczyny sadzony przez dziadka.

## Rodzina

Ojciec Stacha, Felicjan urodził się , jak już wspomnieliśmy , w roku 1884 w rodzinie wielodzietnej , jako przedostatni z siedmiorga rodzeństwa. Miał jednego brata i pięć siostr. On przejmie w spadku gospodarstwo - całe ,nie podzielone. Była to świadoma „polityka” rodzinna. Znaczenie rodziny w wiejskiej społeczności mierzyło się gospodarskim zapleczem. To postawienie na Felicjana jako na głowę rodu okazało się bardzo trafne. Dzięki wielkim zdolnościom manualnym i otwartej głowie będzie świetnie gospodarzył na ojcowskiej schedzie, a przy tym będzie się cieszył dużym szacunkiem i uznaniem swego środowiska.

Bo był Felicjan człowiekiem towarzyskim, udzielającym się społecznie, chłonnym na wiedzę , zwłaszcza techniczną. To też dużo czytał zarówno w języku niemieckim, którego nauczył się w szkole jak i polskim ; bo w domu, we wsi, w kościele panowała polszczyzna. Cechowała go przy tym nieprzeciętna pomysłowość i zaradność. Niełatwo poddawał się losowi nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Miał dużo pogody ducha i życiowego optymizmu. Wpływały one nie tylko z naturalnego usposobienia, ale z pewnością również z zawierzenia Opatrzności Bożej, odznaczał się bowiem głęboką religijnością. Nie zadawał się regularnym uczęszczaniem do kościoła i sakramentów świętych. Należał ponadto do żywego różańca. Toteż nie rozstawał się z różańcem, zwłaszcza gdy burze dziejowe odrywały go na całe lata od rodziny, albo niszczyły rodzinne gniazdo, które przez całe lata budował z takim wysiłkiem i poświęceniem.

A takich momentów nie brakowało w jego życiu. Podczas I wojny światowej będzie walczył w mundurze niemieckim najpierw we Francji, potem na froncie wschodnim, gdzie dozna kontuzji i znajdzie się w szpitalu w Wilnie. Gdy wojna się skończy powróci do domu, ale broń zatrzyma , bo może się przydać. Przewidywania były słuszne. 27.XII.1918r. wybuchło powstanie Wielkopolskie. Pan Felicjan odesłał żonę z czwórką małych dzieci , od trzech do siedmiu lat, do znajomych w Pakosławiu - 8 km . od Słupi i zarazem 8 km dalej od Rawicza, gdzie Niemcy mieli silną załogę, a sam przystanie do powstańców. Powstanie ogarnęło znaczne tereny i osiągnęło wyraźne sukcesy militarne. Toteż Niemcy zgodzą się na zawieszenie broni, które zostanie podpisane w Trewirze 16.II.1919r. W cztery miesiące później traktat Wersalski 28.VI. przyzna Polsce całą Wielkopolskę w przedrozbiorowych granicach.

Powoli sytuacja się ustabilizuje i pan Felicjan będzie budował Polskę, gospodarząc pracowicie i mądrze na tej działce która mu została zawierzona jako spadek po jego praojcach. Będzie to trwało niestety tylko lat dwadzieścia.

Przyjdzie nowa wojna powszechna, jeszcze bardziej nieludzka niż pierwsza. Niemcy na przełomie roku 1940 / 41 zagarną gospodarstwo i posadzą na nim jakiegoś volksdeutscha, z Besarabii, który doprowadzi je do ruiny. Felicjan z całą rodziną przeniesie się do szwagra. Nie na długo. Po pół roku szwagra spotka ten sam los co ich; więc znów przeprowadzka do innego domu, z którego wcześniej wyrzucono polską rodzinę. Ale i tu nie zagrzała długo miejsca. Po pół roku jeszcze jedna przeprowadzka i w 1944r. czwarta i ostatnia. Dlaczego jednak Niemcy pozostawili ich w Słupi? Nie były to żadne względy humanitarne. Chodziło o pasiekę. Nowy gospodarz na zagrodzie Kiałków nie miał żadnego pojęcia o hodowli pszczół. Żeby się więc nie zmarnowały, musiał ich doglądać pan Felicjan.

Na potwierdzenie zaradności ojca Stacha przytoczę jeden przykład z tego właśnie okresu. Po utracie gospodarstwa trzeba było z czegoś żyć. Więc ojciec, jak opowiadała najmłodsza córka, chodził na zarobki „po ludziach”. Latem miał dużo pracy przy plewieniu. Prosił właścicieli, by mu pozwolili po skończeniu roboty zabierać chwasty do domu. Kto by mu tego żałował. A on na tych chwastach hodował dużą gromadę królików.

Matka: Katarzyna z domu Jaśkiewicz, rok urodzenia 1888. Gdy wychodziła za mąż liczyła 21 lat. Pod wielu względami podobna do męża. Bardzo pobożna, należała do Kółka Różańcowego i do Bractwa Matki Bożej Bolesnej. Pod jej przewodem w miesiącu maju cała rodzina odmawiała wspólnie wieczorem litanie do Matki Bożej, a w październiku różaniec. Pomagał jej w tym mąż który, jak znowu zaznacza najmłodsza córka Felicja, pilnował praktyk religijnych całej rodziny. Katarzyna, była zawsze łagodna, pogodna, zrównoważona. Lubiała czytać .zwłaszcza czasopisma religijne. Odznaczała się ogromną pracowitością. Pani Fela Kiałkówna gdy wspomina mamę, to widzi ją zawsze zapracowaną. I nie trudno nam w to uwierzyć. Ileż to trudu kosztowało ją samo wychowanie ośmiorga dzieci. A druga dziedziną również ogromnie pracowita, to prowadzenie domu; to znaczy schludność, ład i porządek w chacie, to znaczy codzienne posiłki, to znaczy cały świat ciuchów. Żeby zmniejszyć wydatki

gdy chodzi o ciuchy, siadała nieraz za maszyną do szycia, brała do rąk druty lub szydełko. Taki był bowiem rozkład obowiązków ustalony od pokoleń we wsi polskiej, że w domu rządziła matka. Do ojca należały : pole, stodoła, troska o ogród, oborę, konie, trzodę. Podzielone były również dochody. Wpływy z ogrodu, obory, od pszczół szły do matki. Oczywiście wiele spraw załatwiano wspólnie, bo ojciec czuwał nad całością.

Także w rodzinie można zauważyć pewne strefy wpływów. Na bieżąco, w sprawach codziennych większy wpływ na dzieci miała matka, choćby przez to, że ona w sposób bardziej ciągły była w domu. Przede wszystkim więc ona urabiała atmosferę domową. Gdy chodziło natomiast o decyzje ważniejsze, jak np. wybór zawodu, przygotowanie do niego, czy problemy ogólnie rodzinne, ostatnie słowo należało do ojca. On był głową, mózgiem rodziny, ale jej sercem była matka.

Różnice temperamentów. On był bardziej aktywny i obrotny. Trudności, zagrożenia, klęski mobilizowały go do zdwojonego wysiłku, do szukania dróg wyjścia. Ona bardziej uczuciowa, refleksyjna, przeżywała wszystko bardzo głęboko. Nadmiar nieszczęść przytłaczał ją i obezwładniał choć na zewnątrz tego nie okazywała. Chyba dlatego pani Katarzyna zemrze przedwcześnie bo w 1943r. mając 55 lat. Wprawdzie bezpośrednią przyczyną śmierci będzie rak, wiemy jednak jak wielki wpływ na choroby ma psychika pacjenta i jego przeżycia. Pani Fela stwierdza wyraźne pogorszenie zdrowia matki po wysłaniu 22 letniego syna Czesława na roboty do Austrii w 1942 r. Pan Felicjan przeżyje nie tylko śmierć żony, ale i dwóch synów: Wincentego w 1944 r., sześć tygodni później Czesława, wreszcie śmierć córki Marianny w r. 1968. Umrze w r. 1973, mając 89 lat. Musiał mieć nie tylko mocny organizm, ale i niespożyty hart ducha.

Dla pełności rodzinnego obrazu wymienimy jeszcze rodzeństwo Stacha:

Franciszek: ur. w 1912 r.- rolnik, po wojnie w 1946 r. objął wraz z żoną gospodarstwo pod Lesznem ( Nowa Wieś), zm. w 1985 r.

Jadwiga: ur. w 1914 r., wyszła za mąż za rolnika w Słupi, podczas wojny pozostali z mężem na miejscu, zm. w 1968 r

Marianna: ur. w 1915 r., w czasie wojny dzieliła losy rodziny. Pod koniec wojny wyszła za mąż i po wojnie osiedliła się na rodzinnym gospodarstwie, zm. w 1968 r.

Wincenty: ur. w 1919 r. - zdążył ukończyć przed wojną zawodową szkołę stolarską i rolniczą.

Podczas wojny pracował najpierw jako stolarz na miejscu u Niemców. 1943 r. wysłany na roboty do Prus wschodnich, zachorował na gruźlicę. Odesłany do domu, zmarł w 1944r.

Czesław: ur. w 1920 r. - murarz, w 1942 r. zesłany na roboty do Austrii, zginął na wycieczce w górach w 1944 r., w sześć tygodni po Wincentym.

Bolesław: ur. w 1922 r.: piekarz- cukiernik. Podczas wojny pracował na miejscu u Niemców w piekarni, żonaty, zm. w 1986 r.

Felicja: ur. 1932 r. dzieliła losy wojenne rodziców, po wojnie skończyła szkołę krawiecką, niezamężna, żyje we Wrocławiu.

*Jak widać druga wojna światowa nie rozpieszczała rodziny Stacha. Hitler w stosunku do Polaków przeliczył wół Bismarcka.*

## KOŚCIÓŁ

Kościół to był nowy świat. Staszek nie pamiętał, kiedy znalazł się tam po raz pierwszy. Miał wrażenie, że znał go od zawsze. I tak istotnie było, bo kościoła zaczął się uczyć na rękach matki. Musiał początkowo rozrabiać. Interesowało go przecież wiele rzeczy, a niczego nie rozumiał. Rychło jednak, gdy zaczęła się w nim budzić świadomość tzn. w trzecim roku życia pojął, że w kościele trzeba być cicho podobnie jak w domu, kiedy ojciec, czy matka odmawiali pacierz. Gdy już zdobył pierwsze religijne wiadomości i zaczął się włączać w święte obrzędy, to i tak była to próba cierpliwości. Suma zaczynała się aspersioną czyli pokropieniem, potem szła procesja, następnie kazanie (pół godziny to było raczej krótko), wypominki i uroczysta śpiewana msza św. W rezultacie całość trwała przynajmniej półtorej godziny. Musiał to jednak wytrzymać, bo rodzice nie spuszczaali go z oka i lepiej było po powrocie do domu nie mieć do czynienia z ojcem, co by mu popsulo świąteczny nastrój niedzielnego popołudnia. A z ojcem nie było żartów. „Trzymał nas krótko” wspomina najmłodsza siostra Felicja.

Powoli żywa wiara ojca i głęboka pobożność matki brały górę nad metodami zewnętrznego przymusu. Stopniowo przejmował od nich pojmowanie i odczuwanie prawd religijnych. Toteż kiedy w 1921 roku przystępował do pierwszej Komunii świętej, przygotowany do niej najpierw przez ks. Śledzińskiego, a potem Franciszka Wolskiego, było to dla niego na pewno głębokie przeżycie; zwłaszcza, że w tamtych czasach rodzice nie stawali do zawodów, kto bogaciej wystroi swoje dziecko, kto kupi mu droższe prezenty, kto wyprawi w domu szumniejsze przyjęcie. Te zewnętrzne akcesoria były bardzo skromne. Tym bardziej uwydatniało się to, co istotne: pierwsze spotkanie z P. Jezusem w Eucharystii.

Niedługo potem przyjmie Stach sakrament bierzmowania. Nastąpi to albo 20 listopada 1921 r. w Golejewku, gdzie ks. biskup Łukomski wybierzmuje między innymi 156 parafian słupeckich, albo 10 października 1922 w Miejskiej Górze, gdzie z rąk tegoż biskupa Łukomskiego bierzmowanie otrzyma 58 osób ze Słupi.

Religijność Stacha, której się uczył najpierw na kolanach matki stawała się coraz bardziej osobista. Duży wpływ na to miało całe parafialne środowisko. Pobożność jego

rodziców stanowiła normę, nie wyjątek. Parafia słuńska była bardzo dobrze prowadzona. Uderza znaczna liczba religijnych organizacji. I tak w r. 1925 istnieją w Słupi:

- Bractwo św. Wawrzyńca - 185 osób
- Arcybractwo Serca Pana Jezusa
- Apostolstwo Modlitwy
- Bractwo Matek Chrześcijańskich - 230 członkiń
- Bractwo Trzeźwości - 210 członków
- Żywy Różaniec - ok. 500 osób ( w r. 1916-675 osób )

Kościół dla rodziców Stacha był nie tylko ogniskiem wiary i pobożności, ale również ostoją polskości. Szkoła była niemiecka, urzędy były niemieckie, ale w kościele wszystko było po polsku, tak jak w domu. Księża z zasady przekazywali dzieciom nie tylko prawdy wiary, ale i tajniki ojczystej mowy. W parafii żaden inny autorytet nie mógł się równać z autorytetem proboszcza. W Słupi to ucieleśnienie w jednej osobie ideałów religijnych i narodowych znalazło szczególny wyraz w historii ks. Juliusza Śledzińskiego. Mianowany proboszczem w 1913 r., z ogromną gorliwością zabrał się do podniesienia poziomu życia religijnego. Tchnął nowego ducha w stowarzyszenia religijne, zmobilizował całą parafię do częstego przyjmowania Eucharystii. Przed jego przejściem w r. 1912 rozdano w kościele słuńskim 3500 Komunii św., w r. 1913 ich liczba wzrosła do 15500, a w r. 1914 osiągnęła 28000. Lekcje religii łączył z nauczaniem języka polskiego. Gdy wybuchło powstanie Wielkopolskie, Słupia przyłączyła się do powstańców, mimo że w niedalekim Rawiczu znajdowała się silna załoga Grenzschtzu. W odwet za to Niemcy napadli na Słupię 14.01.1919 r. i zamordowali księdza wraz z piętnastoletnim chłopcem. W oczach swoich parafian od dnia swej śmierci uchodził za świętego kapłana i narodowego bohatera. I tak jest po dziś dzień.

Stach musiał pamiętać ten epizod, mimo że znajdował się wtedy wraz z matką w Pakosławiu; miał już przecież osiem lat i parę miesięcy, a przy tym chodził na lekcje religii prowadzone przez księdza, przynajmniej od momentu, kiedy zaczął uczęszczać do pruskiej szkoły. Zaważy to z pewnością na formowaniu się jego kapłańskiego powołania i patriotycznej postawy.

## Szkoła

Cztery klasy szkoły „powszechnej” ukończy Stach na miejscu w Słupi. Budynek szkolny znajdował się naprzeciw kościoła, a więc około pół kilometra od domu. Zdawałoby się więc, że sprawa wyglądała bardzo prosto. Tymczasem był to dla Stacha okres trudny i powikłany na skutek wydarzeń dziejowych, które wstrząsały wówczas Europą i światem i znajdowały swoje odbicie również w Słupi Kapitulnej.

Szkołę rozpoczyna, jak twierdzi stanowczo jego najmłodsza siostra Felicja, w wieku lat sześciu. Mamy więc rok 1917. Jest to zatem szkoła pruska, a więc panuje w niej wszechwładnie niemczyzna. Stąd dla Stacha, jak i dla innych dzieci było to zderzenie ze światem obcym, a nawet wrogim. Do zasadniczych bowiem metod wychowawczych należały kije i różgi, a najczęściej stosowano je za nieporadność w niemieckiej mowie. Szkolny kolega Stacha, starszy o rok, po kilkudziesięciu latach tak napisze: „Moja gehenna rozpoczęła się, gdy zacząłem uczęszczać na naukę. Cały wysiłek ówczesny pruskiej szkoły elementarnej koncentrował się wokół nauki języka niemieckiego. O Boże, co to był za koszmar.” (Cz. Poniecki „Jesienny Obrachunek”).

Jaśniejszym elementem na tym ciemnym tle były lekcje religii i polskiego, które odbywały się poza szkołą, w salce parafialnej, w zrozumiałej, ojczyściej, polskiej mowie. Ks. Śledziński jak wiemy, przyplącił to życiem.

Jak długo Stach będzie poddany rygorom niemieckiej szkoły? Jeden rok i kwartał, bo 27 grudnia 1918 wybuchła powstanie wielkopolskie. Ojciec Stacha, jakby mało miał czteroletniej wojaczki, pójdzie znów walczyć - tym razem za Ojczyznę. W ciągu półtora miesiąca prawie cała Wielkopolska znajdzie się w rękach powstańców. Toteż Niemcy, pod naciskiem aliantów zgodzili się na podpisanie rozejmu w Trewirze 16. 02. 1919 r. Linia frontu stała się linią demarkacyjną między obu stronami. Słupia znalazła się po stronie polskiej, ale w strefie przyfrontowej, bo niemiecka załoga z Rawicza mimo rozejmu raz po raz ostrzeliwała ciężkimi działami sąsiednie wioski.

Stąd nauka w szkole, prowadzonej już przez polskiego nauczyciela Kryzana odbywała się nieregularnie. Nawet po traktacie wersalskim, podpisanym 28. 06. 1919 r. sytuacja się nie



zmieniła. Niemcy bowiem zastanawiali, się czy nie odrzucić trudnych warunków traktatu i nie pójść na współpracę z bolszewikami. Ponieważ jednak ster rządów zarówno w dziedzinie politycznej, jak i wojskowej, dzierżyli arystokraci, nie trudno było im zrozumieć, że jeśli nawet w ten sposób uda im się uniknąć terytorialnego okrojenia Rzeszy i spłacania ogromnych długów wojennych, to przecież sami mogą stracić wszystko: nie tylko stanowiska i majątki ale nawet życie, jak to się przydarzyło arystokracji rosyjskiej. Wybiorą więc mniejsze zło; pogodzą się z warunkami traktatu wersalskiego.

Niemcy przekażą Polakom Rawicz z całym powiatem 17. 01. 1920 r. Dopiero wtedy zniknie linia frontu biegnąca dwa km na zachód od Słupi. W tymże roku od letnich wakacji szkoła, już polska, ruszy „pełną parą”. Będzie ona miała, mimo niedostatku miejscowej kadry, komplet trzech nauczycieli, bo ochotnicy z innych dzielnic Polski, szczególnie z byłej Galicji uzupełnią braki, jakie pod tym względem odczuwała Wielkopolska. Lekcje prowadzone przez Kryzana w latach 1919 na 1920 odbywały się bardzo nieregularnie, skoro wszystko wskazuje na to, że Stach w roku 1920/21 rozpocznie naukę od pierwszej klasy. A ze szkoły pruskiej, poza przykrymi wspomnieniami nie zostanie nic. Pamiętam, że gdy w zakonie zaczniemy przerabiać w piątej klasie język niemiecki, on będzie w nim całkiem „zielony”.

Szkoła w Słupi potrwa cztery lata, a po jej ukończeniu przyjdzie egzamin do gimnazjum. Zdawałem ten egzamin w tymże roku w Łowiczu. Brałem przed tym specjalne korepetycje, żeby być dobrze przygotowanym. Liczba kandydatów przekraczała dwukrotnie ilość miejsc, a poziom szkół powszechnych na wsiach był niższy niż w miastach. Myślę, że tak samo było w Rawiczu.

Gimnazjum rozpocznie Stach w roku 1924, skoro w 1928 ukończy klasę czwartą. Zamieszka na stacji w Rawiczu najpierw u pani Heilureinowej, potem u Ślęczkowskiej, a później jeszcze będzie dojeżdżał z domu na rowerze. Myślę, że ta przesiadka ze stacji na rower odbyła się po dwóch latach, gdy Stach miał już 15 lat. Przemawiają za tym dwie okoliczności. Pierwsza to ta, że pan Felicjan nie puściłby wcześniej syna na codzienne dojazdy do miasta, obawiając się o jego bezpieczeństwo. To prawda, że droga Pakosław - Rawicz nie była magistralą i że Polska w tamtych latach dopiero zaczynała raczkować w dziedzinie motoryzacji, nie mniej w dni targowe tłok furmanek między Słupią a Rawiczem był duży. Drugą okoliczność podaje nam sam Stach w swoich wspomnieniach poświęconych jego

odwiedzinaom u rodziny w mundurze niemieckim w 1943 roku. Jadą rowerami z bratem Bolkiem z Rawicza do Słupi. Tę jazdę Stach tak opisuje: „7 km drogi to 7 km wspomnień o drodze do gimnazjum. Drogę znałem, przemierzałem ją setki razy na rowerze. Robiliśmy z kolegami zakład, że ją przejedziemy z rękami w kieszeni i to w czasie jarmarku, gdy na szosie największy ruch. Rozsądni ludzie ostrzegali ojca, by uważał na mnie, bo źle skończę”. By nabyć takiej wprawy w pedałowaniu, trzeba było więcej niż jednego roku treningu.

Dlaczego jednak ta zamiana stacji na rower? Zaważyły tu z pewnością względy ekonomiczne. Nie zapominajmy, że Stach ma w tym czasie ( rok 1926 ) sześcioro młodszego rodzeństwa w wieku od 14 do 4 lat, a sytuacja materialna na wsi niewiele była lepsza od dzisiejszej. Trzeba więc było oszczędzać . Rower okazał się tym oszczędniejszym rozwiązaniem. Mimo to Stach nie ukończy gimnazjum w Rawiczu. Nie dlatego, że pójdzie do Jezuitów - to był skutek wtórny. Będzie zmuszony przerwać naukę. Co się więc stało?

Pewne światło na tę sprawę rzuca nam jedna notatka odnaleziona w jego papierach przez panią Wandę Kiałkową. Ta notatka zawiera pewne hasła tematyczne, jakby tytuły rozdziałów do wspomnień z okresu dzieciństwa i pierwszej młodości. Najwyraźniej Stach nosił się z zamiarem opisanie tego okresu życia.

Warto ją przytoczyć w całości gdyż jest ona charakterystyczna.

#### I. Młodość - dzieciństwo

Pierwsze fakty zapamiętane

Przyjazdy ojca na urlop

Pójście do szkoły pruskiej

Ucieczka z domu

Granica

Walki z Grenzschutzem

Napad na Słupię

Bawienie się pociskami, zrzucanie ich do wody

Strzelanie do Niemców

Szkoła podstawowa polska

Gimnazjum - egzamin

Stacja u Heilureinowej

Powstanie w Słupi

Podręczniki szkolne

Stosunki w pruskiej szkole

Dokuczanie Niemcom

Zabawy w Indian

Stosunki na stacji

Wyjazdy do domu

Katastrofa przy zmianie klasy

Seminarium

Klasztor

W tej notatce najbardziej intryguje nas i wymaga wyjaśnienia hasło: „Katastrofa przy zmianie klasy”. Czyżby Stach nie przeszedł do klasy piątej? Siostra Stacha kategorycznie odrzuca taką interpretację, twierdząc, że należał zawsze do lepszych uczniów. I nie trudno nam jej uwierzyć. Potwierdzają to jego studia w zakonie. Zresztą gdyby nie ukończył z pozytywnym wynikiem czwartej klasy, nie zostałby przyjęty do jezuickiego nowicjatu.

Na czym więc polegała ta „katastrofa”? Jestem przekonany, że znów z całą ostrością zadziały trudności finansowe. Ojciec odpowiedzialny za całą rodzinę musiał dojść do wniosku, że nie da rady kształcić w gimnazjum najstarszego syna, bo będzie to z krzywdą dla innych dzieci. Zresztą gdyby nawet uparł się i przez 4 lata zostawił Stacha w szkole aż do matury, to i tak <sup>byłoby to</sup> nie koniec wydatków. Matura bowiem nie dawała chleba; była tylko furką do studiów uniwersyteckich. A więc pozostawało jeszcze około 9 do 10 lat nauki. Nie ma mowy! Przy tak licznej rodzinie, przekraczało to możliwości 9 - hektarowego gospodarstwa, choćby tak dobrze postawionego, jak gospodarstwo pana Felicjana.

Trzeba więc było szukać innego wyjścia, które by jednak nie zmarnowało 4 lat dotychczasowej szkoły. Pierwszy pomysł, jak wynika z notatki Stacha, to seminarium nauczycielskie. Istniała wówczas taka szkoła w Rawiczu. Gdyby Staszek do niej przeszedł musiałby wprawdzie uczyć się jeszcze 4 lata, ale zdobyłby zawód nauczyciela szkoły podstawowej. Z tym już można było iść w życie.

Dlaczego jednak i ten pomysł upadł? być może ojciec uznał go za zbyt kosztowny, a może został porostu wyeliminowany przez następny projekt: „klasztor”. Od kogo wyszła ta propozycja? Chyba nie od ojca, ani nie od Stacha. Z niektórych wypowiedzi tego ostatniego

wynikałoby że propozycja wyszła od matki. To rozwiązanie było idealne. Bo po pierwsze, do klasztoru przyjmowano wówczas chłopców już po 4 klasie gimnazjalnej, a po wtóre odpadały wszystkie koszty związane z dalszym kształceniem. Powiemy o tym dokładniej w następnym rozdziale. Trzeba było tylko jeszcze jednego: zgody Stacha. Nie były to już przecież średniowieczne czasy, gdy tak często o powołaniu duchownym rozstrzygali rodzice. Matka znała dobrze swojego pierworodnego. Wiedziała, że jest to chłopak z ambicjami, że byle czym się nie zadowoli, więc z pewnością ukazała mu kapłaństwo jako ideał, o który warto się pokusić.

Przypominam sobie, jak w nowicjacie opowiadał mi, że gdyby na 3 tygodnie przed wyjazdem do Kalisza, ktoś mówił mu o zakonie, uznałby to za głupi żart. Chciał przez to podkreślić, że jego powołanie nie przyszło od niego, ale z góry od Boga. A jednak to było tak bardzo w jego stylu: szybka decyzja, a potem całe serce przy jej realizowaniu. Bo jak stwierdza jedna z zasad życia wewnętrznego: łaska nie przekreśla natury, tylko ją udoskonala, obie bowiem są darem Bożym.

## Wstąpienie do Jezuitów

W r. 1928 17-letni Stach po ukończeniu IV klasy gimnazjum, czyli na cztery lata przed maturą decyduje się opuścić gniazdo rodzinne, by wstąpić do jezuitów. Nie było w tym nic szokującego. Właśnie z takich rodzin jak jego; wielodzietnych i głęboko religijnych, rekrutowała się wówczas większość powołań duchownych. Można natomiast pytać, dlaczego zakon, a nie seminarium diecezjalne? O tym zadecydowały względy materialne. Żeby być przyjętym do seminarium duchownego trzeba było uczyć się jeszcze przez cztery lata, a to kosztowało, nawet gdy się do szkoły dojeżdżało na rowerze. Również pobyt i studia w seminarium były związane z pewnymi kosztami. Natomiast do zakonu wystarczała dość skromna wyprawa bielizniano-odzieżowa i na tym koniec. Wszystkie inne wydatki zakon brał na siebie. Była to racja nie bagatelna. Nie zapominajmy: Stach miał jeszcze sześcioro młodszego rodzeństwa; 4 braci i 2 siostry, najmłodsza Felicja przyjdzie na świat dopiero za cztery lata. Każde dziecko trzeba było nie tylko wyżywić, przyodziać, wychować, ale również każdemu stworzyć możliwość materialnej egzystencji w życiu. Najlepiej dać jakiś fach do ręki. Dzielenia ziemi unikano, żeby nie degradować gospodarstwa, i rodziny. Nie było to rzeczą łatwą nawet przy tak wielkiej przedsiębiorczości ojca i tak ogromnej pracowitości matki. Toteż odejście Stacha do Jezuitów było nie tylko spełnieniem marzeń matki i ojca ale również znaczną ulgą materialną.

Dlaczego jednak do jezuitów? Przecież bliżej było do Franciszkanów. Wystarczyło wyjść na polną drogę poza zagrodę, żeby ponad falującymi łanami zbóż ujrzeć mury klasztoru i kościelną wieżę w <sup>Harolinbach</sup> Miejskiej Górze. Mieszkańcy Słupi wędrowali tam chętnie na ważniejsze odpusty. Drogą przez pola szło się 5 km.

Przyczyna była następująca. Matka Stacha chętnie czytywała pobożne czasopisma. Między innymi, jak stwierdza najmłodsza jej córka, prenumerowała „Posłańca Serca Jezusowego”. Miesięcznik ten redagowali jezuita. Raz po raz, zwłaszcza pod koniec roku szkolnego, podawali w nim informację o przyjęciu do zakonu. To pewno wpłynęło na skierowanie Stacha do Towarzystwa Jezusowego. Można przytoczyć jeszcze drugi powód jako wielce prawdopodobny: patron Stacha św. Stanisław Kostka był jezuitą i gdy wstępował do nowicjatu w Rzymie miał tyle samo lat, co jej syn. Ta analogia dla bardzo pobożnej matki

nie była bez znaczenia. Tak więc pierworodny Felicjana i Katarzyny Kiałków dnia 8 sierpnia 1928 r. wyląduje w Kaliszu w pobornardyńskim klasztorze, gdzie mieścił się wówczas nowicjat prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej, zakonu księży jezuitów. Rozpoczyna w ten sposób nowy etap życia. Otwiera się przed nim nowy świat- świat radykalizmu ewangelicznego. Jest to wybranie drogi życia, na której wszystko ma być oddane i podporządkowane Chrystusowi. Chrystus ma być drogą, ale i ostatecznym celem. Wstępuje do zakonu apostołskiego i dlatego na tej drodze nie będzie sam, nie odizoluje się od świata jak pustelnicy pierwszych wieków. Napotka tu współbraci zakonnych, z którymi razem odbędzie formację zakonną, zmierzającą do tego, by po „przyswojeniu” sobie Chrystusa, dawać Go innym. Nowa to rzeczywistość, bo wyłaniająca się z nowej perspektywy, nowego spojrzenia na życie, na świat, na historię zbawienia., ale nie obca dla kogoś kto od dziecka wyrastał w rodzinie przepojonej wartościami chrześcijańskimi.

Można powiedzieć więc, że już w rodzinie dojrzał do powołania zakonnego. Stąd jego przestawienie się na nowe tory odbędzie się bezkolizyjnie; zwłaszcza, że wzrastał w tych „dobrych” czasach, gdy trzy czynniki wychowawcze: rodzina-Kościół- szkoła działały harmonijnie, uzupełniały się, wspierały nawzajem. Był więc przygotowany do wejścia w nadprzyrodzoną atmosferę jezuickiego nowicjatu. Miał również swoje znaczenie fakt, że pochodził z rodziny wielodzietnej. Jakże wcześniej i skutecznie w takiej rodzinie nowy obywatel ziemi uświadamia sobie, że nie jest centrum świata, że takie same prawa, jak on, do miejsca w domu, w łóżku, przy stole, na kolanach matki, do troski, czułości rodziców ma reszta jego rodzeństwa. Czy można sobie wyobrazić lepszą szkołę altruizmu, wyrzeczenia, ofiarności, odpowiedzialności? Stach był najstarszym w tym gronie, co mu dawało pewną przewagę, autorytet, przywództwo, inicjatywę, ale łączyło się to zarazem z większą odpowiedzialnością i wcześniej nakładało obowiązki. Tymi obowiązkami na wsi była nie tylko szkoła, ale i różnorakie posługi w gospodarstwie, w które dzieci wciągano bardzo rychło.

Wszystkie przymioty wyniesione z domu rodzinnego poszerzy, ugruntuje i pogłębi formacja jezuicka. A formacja ta u Stacha będzie trwała przez 12 lat, od siedemnastego do dwudziestego dziewiątego roku życia, czyli w okresie kiedy człowiek jest najbardziej chłonny na szczytne ideały i nieprzemijające wartości.

## Nowicjat-1928-30

Nowicjat trwający u jezuitów dwa lata, to pierwszy etap przemiany w „nowego człowieka”. Trzeba więc w nowicjacie zmienić sposób myślenia, patrzenia na rzeczywistość, na życie ludzkie- poszerzyć to widzenie o cel nadprzyrodzony, o perspektywę wieczności- zmienić również pobudki działania, tak by nie szukać własnych korzyści, zadowolenia własnej ambicji jeno chwały Bożej i zbawienia dusz ludzkich- poznać ascezę chrześcijańską, czyli drogę do nadprzyrodzonej doskonałości- zapoznać się z historią zakonu, szczególnie w jego świętych- przestrzegać trzech ślubów zakonnych: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa zanim się je złoży publicznie po upływie dwóch lat- nauczyć się życia we wspólnocie, sumiennosci w obowiązkach, zakonnych manier.

Do osiągnięcia tego celu mają prowadzić odpowiednie konferencje mistrza nowicjatu, czytanie ascetycznych ksiązek i żywotów świętych, codzienna modlitwa myślna i modlitwy ustne, rachunek sumienia dwa razy na dzień, co tygodniowa spowiedź, codzienna Eucharystia, milczenie poza godzinami rekreacji, rozmowy inwidualne z mistrzem i - rzecz bardzo istotna - t.zw. „Ćwiczenia Duchowne” św. Ignacego, czyli 30-dniowe rekolekcje, odprawiane w parę miesięcy po wstąpieniu, w których założyciel zakonu zawarł jezuicką duchowność. Ukazuje w nich przede wszystkim Chrystusa, który jest naszą Drogą, Prawdą i Życiem. Nauka przedmiotów szkolnych jest przez całe dwa lata zawieszona, z wyjątkiem greki i zwłaszcza łaciny.

Do utrzymania i rozwijania sprawności fizycznej służyły codzienne zajęcia domowe, dwugodzinne spacerzy trzy razy w tygodniu, a latem kąpiele w rzece i całodniowe piesze wycieczki, szczególnie w miesiącach wakacyjnych.

To wszystko odbywało się w atmosferze daleko posuniętej izolacji. Nie rozmawiało się z obcymi osobami, kontakty z rodziną były mocno ograniczone. Nawet w domu zakonnym nie przestawało się na co dzień z zakonnikami współbraćmi nie należącymi do nowicjackiego grona. Chodziło o to, by cała formacja nowicjuszy spoczywała w pewnych rękach mistrza i jego pomocnika socjusza, do których zakon żywił pełne zaufanie, z wykluczeniem niepożądanych ubocznych wpływów.

### Stara Wieś-1930/31 r.

Nowicjat jest nie tylko okresem formacji, ale zarazem próbą powołania. Stąd nowicjusz ma w każdej chwili pełną swobodę odejścia z zakonu. I zakon posiada pełne prawo odesłania go do rodziny. Wystarczy, że jedna ze stron uzna, iż N.N nie nadaje się do zakonu. Dla Stacha ta próba wypadła pozytywnie. To też 15.VIII.1930r.złoży wspomniane wyżej zakonne śluby. W ten sposób stanie się pełnoprawnym zakonnikiem. Uroczystość ta odbędzie się w Starej Wsi k. Brzozowa, województwo wówczas lwowskie [po reformie gierkowskiej krośnieńskie]. Tam w uroczej okolicy Karpackiego Podgórze znajdował się, istniejący po dziś dzień drugi nowicjat jezuicki prowincji Małopolskiej. Młodzi klerycy z obu prowincji odbywali tu przez rok prywatne studium mające na celu przypomnienie sobie dotychczasowych wiadomości szkolnych i przerobienie V klasy gimnazjalnej. Zarówno dla Stacha jak i dla mnie, przyzwyczajonych do płaskich krajobrazów doliny Orli czy Bzury, okoliczne wzniesienia ,mierzące ponad 400m.wydawały się prawdziwymi górami. Potężne mury bazyliki i klasztoru pobudowane przez ojców paulinów w połowie XVIIIwieku i oddane pod opiekę jezuitów w1821r. wciągały nas w bogatą historię Polski i Kościoła, zwłaszcza, że bazylika była zarazem maryjnym sanktuarium i w głównym jej ołtarzu znajdował się obraz przedstawiający zaśnięcie Matki Najświętszej, arcydzieło średniowiecznej sztuki malarskiej. Do tego obrazu na uroczystość Wniebowzięcia i Narodzenia Matki Bożej ściągaly liczne rzesze wiernych nie tylko z Polski, ale i Słowacji.

Na końcu roku szkolnego zdaliśmy wszyscy państwowy egzamin, po czym zasłużone wakacje na willi pod lasem, a około 20 lipca wyjazd do Pińska.



## Pińsk 1931-34

Trzy najwyższe klasy gimnazjalne ukończy Stach Kiałka w stolicy polskiego Polesia, Pińsku, liczącym 30 tys. mieszkańców. Charakterystycznie przedstawiał się skład ludności: 75% stanowili Żydzi, około 12% Polacy i tyle samo Rusini. Choć miał rangę tylko powiatowego miasta, to przecież był siedzibą dwu biskupstw: katolickiego i prawosławnego. Jednak najokazalszą budowlę stanowiły kościół i klasztor jezuitów, ufundowane około połowy XVII wieku, przez Alberta- Stanisława Radziwiłła. Dwupiętrowy gmach kolegium wznosił się jak potężna twierdza na lewym brzegu Piny wystającym parę metrów ponad poziom wody, oddalony kilkadziesiąt kroków od rzeki. Posiadał dwa skrzydła zbiegające się pod kątem prostym. Skrzydło południowo-wschodnie biegło równoległe do Piny. Z jego okien widać było jak na dłoni ciągnące się aż po linie horyzontu zielone łąki, poprzerzynane tu i ówdzie wąskimi kanałami. Na wiosnę tereny te zamieniały się w rozlewisko szerokie jak morze. Przez ten bezbrzeżny obszar wody wiała się wstążka drogi, prowadząca na południowy-wschód tam gdzie zza widnokregu wyglądały ledwo widoczne drewniane chatynki.

Gdy wody opadły, tereny te zamieniały się w pastwiska dla miastowych krów. Nie było kłopotów z ich pasieniem. Właściciele spuszczały je rano z łańcucha o tej samej godzinie; one łączyły się w stada i obok naszego kolegium schodziły do rzeki głębokiej na parę, a może nawet na kilka metrów i forsowały ją wplaw; małe cielęta trzymały głowę na grzbiecie matki. Podziwialiśmy ich spokój i determinację. Nie straszna im była ani głębia, ani wartki prąd rzeki, ani lodowata wiosną i jesienią temperatura wody. Wieczorem znowu całym stadem przeprowały się z powrotem. Po wyjściu na brzeg otrząsały się energicznie i każda szła sama do swojej zagrody.

Krowy nie były na tyle liczne, żeby dało się spaść nimi tak ogromne łąki. Toteż ich zdecydowaną większość koszone, a siano ustawiano w kopy. Teren ten upodobały sobie odlatujące do ciepłych krajów bociany. Toteż na początku września prawie na każdej z tych kopic można było zobaczyć wartującego boćka. Zimą, gdy mrozy skuły podmokły teren, zwożono kopy do zagród.

Naprzeciw naszego kolegium funkcjonował rynek wodny. W dni targowe na odcinku paruset metrów rzeka do połowy szerokości wypełniała się łodziami. Prym wiodły wielkie barki zanurzone prawie po górną krawędź burty, wypełnione starannie ułożonymi polanami opałowego drzewa. Konkurowały z nimi mniejsze wprawdzie, bo mierzące tylko kilka metrów łodzie, ale kryjące w swym wnętrzu cenniejszy towar: cielęta, świnki, owce, drób, ryby, rolne płody, nabiał. Nie brak było i czółen dębanych z jednego pnia, które mogły zabrać najwyżej dwóch ludzi i niewielki bagaż. Dostawcami tych wszystkich towarów, oprócz drzewa, byli Poleszacy mówiący białoruską gwarą, odbiorcami przede wszystkim Żydzi, którzy prawie cały handel skupili w swoim ręku.

Wśród szarego gminu Poleszaków można było zauważyć poszczególnych mężczyzn ubranych nietypowo. Wyróżniały ich jasne sukmany i czerwone wełniane pasy na biodrach zawiązane nieco z prawego boku na węzeł, na tyle długie, że oba końce sięgały do kolan. Zapytani dlaczego noszą taki strój, odpowiadali, że jest to znak ich szlachectwa nadanego im przez „Dobrą Królowę”. I nie była to czcza przechwałka. Wiadomo, że za Zygmunta istniały w okolicach Pińska liczne królewskie ziemie, którymi znakomicie zarządzała królowa Bona. Dla kopania melioracyjnych rowów sprowadzała specjalistów z Niderlandów. Niektórzy z nich osiadali na stałe. Toteż za naszego pobytu w Pińsku przyjeżdżał od czasu do czasu holenderski kapucyn, by swym rodakom żyjącym w okolicznych wioskach nieść kapłańską posługę. Chyba po dziś dzień istnieje parokilometrowy kanał Bony, naprzeciwko naszego kolegium, który o kilka kilometrów skracał połączenie wodne między Strumieniem i Piną.

Zimą, podobnie jak latem, wodne kanały służyły za najdogodniejsze szlaki lokalnej komunikacji z tym, że łodzie zamieniano na jednokonne sanie. Nie zmieniał się również plac targowy, jeno poszerzał się nieco, bo zimowe pojazdy ustawiały się nie tylko na zamrzniętej Pinie, ale i na placu między rzeką i naszym kolegium.

Przez pierwsze dwa lata naszego pobytu, Pińsk nie miał mostu przez Pinę. Funkcjonował za to prom o ręcznym napędzie, za darmo, na każde zawołanie. Nieraz, gdyśmy już smacznie spali, budziło nas dolatujące przez okno przeciągłe wołanie „Pane paroom..., dawajcie paroom... paroom...!” To jakiś zapóźniony Poleszak wracał po nocy z miasta do domu i chciał się przeprawić przez rzekę, ale prom był przy drugim brzegu, a przewoźnik smacznie chrapał w swoim legowisku i należało go obudzić.

Rozpisałem się nieco szerzej na temat uwarunkowań geograficzno- hydrologicznych i stosunków demograficznych Polesia, bo przecież przez trzy lata rzutowały one na nasz sposób życia. Musieliśmy się do istniejących warunków jakoś dostosować. Pierwszym najważniejszym znakiem adaptacji była nasza flotylla złożona z sześciu łodzi, po dziesięć wiosła każda. Na tych łodziach, od wiosny do jesieni buszowaliśmy po okolicznych wodach, przeważnie w czwartki, które zgodnie z jezuicką tradycją były wolne od nauki. Rano, po Mszy św. i śniadaniu ładowaliśmy na łodzię obiad przygotowany poprzedniego dnia przez kucharza, chleb i dodatki do chleba na podwieczorek, znakomitą drożdżówkę, duży syfon wody sodowej, kotły na wodę, rondelki, patelnie etc. Każdy miał wyznaczoną łódź i swoje miejsce przy wiosle. Oczywiście nie mogło zabraknąć sternika. Zwykle brało się jeszcze, kogoś na dziób: przełożonego, profesora, honorowego gościa. Tak więc obsada wszystkich łodzi liczyła ok. siedemdziesięciu marynarzy.

Ponieważ jednak było nas, samych kleryków powyżej setki, więc reszta, co słabsi, odpadała do „piechoty”. Punkt docelowy takiej wycieczki był zwykle odległy od Pińska do 10 km., z dala od wszelkich siedzib ludzkich. Na suchym, porośniętym skąpą trawą i łożami brzegu rozkładaliśmy nasz majdan, opalaliśmy się w słońcu, moczyli w wodzie, grali w siatkówkę; kuchnia na dwóch ogniskach odgrzewała obiad. Wodę do herbaty brało się ze środka rzeki i zaręczam, że herbata smakowała wyśmienicie. Trzymaliśmy się zasady, że z domu wiosłujemy w górę rzeki. Dzięki temu w powrotnej drodze łączyliśmy łodzie burtami i płynęli zdani na prąd wody. Zaczynał się koncert. A repertuar mieliśmy bogaty, poczynając od smętnych patriotycznych utworów doby porozbiorowej, poprzez żołnierskie i harcurskie piosenki aż po pełne humoru skecze. I niósł się ten śpiew siedemdziesięciu męskich, młodych głosów w ciszy letniego wieczora, daleko, szeroko, bez przeszkód na wody, łąki, moczary. Po godzinnym koncercie braliśmy się za wiosła. Ostatni kilometr naszej trasy biegł zwykle wzdłuż miejskiej promenady, która wieczorami była ulubionym miejscem spacerów dla mieszkańców Pińska. Toteż odcinek ten pokonywaliśmy w przyspieszonym tempie, w paradnym szyku, pod jedną komendą. Wszystkie łodzie równomiernie potężnymi ślizgami parły do przodu, jak by chciały oderwać się od wody. Milkli spacerowiczę urzeczeni tym widokiem. W ciszy rozlegał się

grzmot miarowy, rytmiczny sześćdziesięciu wiosł smagających rzekę: trrrrach... trrrrach... trrrrach... Raz po raz na brzegu zrywały się oklaski.

Kilka razy w roku odbywaliśmy dalsze wodne wycieczki statkiem: na kanał Królewski, Ogińskiego; ale najciekawszą była wyprawa do granicy polsko-sowieckiej. Wyruszyliśmy z domu pod wieczór. Zabieraliśmy na statek koce i żywność na dwa dni. Szybko przebywaliśmy krótki odcinek Piny i wpływali na tzw. Strumień, który był odgałęzieniem Prypeci. Ona to zaniesie nas aż do celu naszej wędrówki. Płyniemy całą noc. Rankiem stwierdzamy, że nasz statek pruje wody potężnej rzeki szerokiej na jakieś 300 metrów. Nic dziwnego, bo zasilają ją po drodze bogate w wodę znaczne dopływy: lewobrzeżna Jasiołda i prawobrzeżny Styr. O wschodzie słońca docieramy do ujścia prawobrzeżnego Horynia. Rozstajemy się na jakiś czas z Prypecią, by po godzinie dotrzeć do leżącego nad Horyniem Dawidgródka. Schodzimy na ląd, uczestniczymy we Mszy św. w kościele, spożywamy posiłek na plebanii, a potem pobieżne zwiedzanie miasta. Dziwne miasto: powiatowe, 10 tysięcy mieszkańców, ani jednej ulicy brukowanej, domy drewniane, kryte nieraz strzechą. Przy jednej z ulic doliczyliśmy się czterech gniazd bocianich. Wracamy na statek. Wspomagani dość wartkim prądem Horynia za niecałą godzinę osiągamy z powrotem Prypeć. Za półtorej mniej więcej godziny lądujemy przy stacji KOP-u położonej na lewym brzegu, gdyż około stu pięćdziesięciu metrów dalej niewidzialna linia państwowej granicy przecina w poprzek rzekę. Żołnierze witają nas z radością. Tak licznych gości mają tylko wtedy gdy ze stolicy Polesia przybywa jezuicka brać.

Zbliża się południe, więc nasi kucharze zabierają się do roboty, by przygotować obiad dla nas i dla załogi KOP-u. Inni zwiedzają stację, gawędzą z żołnierzami. Po obiedzie pod opieką komendanta placówki udajemy się nad samą granicę, którą tutaj na odcinku 50 km, wyznacza lewobrzeżny dopływ Prypeci: Słucz. Niewielka rzeka możnaby ją za minutę przebyć w pław, a jednak tak znacząca. Nasz brzeg na pół porosły drzewami i łożą, tamten drugi zasłonięty gęstymi krzewami: nie widać żywego ducha.

- Oni tam są mówi komendant, obserwują nas pilnie, ale mają rozkaz być niewidzialni.

Z lękiem i ze ściśniętym sercem, w milczeniu wpatrujemy się w przeciwległy brzeg: kamieniem prawie możnaby dorzucić, a przecież to obcy, zniewolony świat. Po powrocie z granicy, chyba przez dwie godziny, wspólne śpiewanie. Pora odjazdu, więc na pożegnanie jeszcze ostatnia pieśń:

„Przemija szybko życie jak potok płynie czas;  
Za rok, za dzień, za chwilę razem nie będzie nas...”

Późnym popołudniem ruszamy w powrotną drogę, bo czeka nas jeszcze kąpiel w Prypeci, kolacja i około 150 km. wodnego szlaku pod prąd.

Zapada zmrok. Nie potrafi on nas jednak spędzić z pokładu. Chcemy przeżyć to co Wieszczył opisał w swojej balladzie:” Gwiazdy nad tobą, gwiazdy pod tobą i dwa zobaczysz księżycy”. Większość nie zmrzy oka przez cały czas podróży. Są jednak i tacy co zaszyli w kajutach, opatuleni w koce śpią jak susły. Wczesnym rankiem jesteśmy w Pińsku: Msza św., śniadanie i łóżko z którego ściągnie nas pobudka na obiad.

Gdy przyszła noc, wszystkich ogarnął twardy, kamienny sen. Tylko nasze „susły” ze statku miały pełne ręce roboty. Toteż rano wielu z nas budziło się na korytarzu, w cudzym pokoju, czasem nawet na innym piętrze, nie mówiąc o meblach i garderobie, które z reguły pozmieniały właścicieli i trzeba było z pół godziny czasu zanim wszystko na swoje wróciło miejsce.

Mógłbym oczywiście mnożyć opisy barwnych przygód jakie przeżywaliśmy podczas trzechletniego pobytu na Polesiu. Nie należy jednak zapominać, że stanowiły one tylko margines naszej rzeczywistości, cenny i nieodzowny dla zdrowia zarówno psychicznego jak i fizycznego, ale margines. Zasadniczy nurt naszego życia na co dzień można było ująć w benedyktyńskie hasło „ora et labora”- „módl się i pracuj”. Modlitewnych ćwiczeń mieliśmy sporo: codziennie pobożne rozmyślanie, msza św. z komunią, dwa razy piętnastominutowy rachunek sumienia, częstka różańca, wspólne litanie, pół godziny czytania duchownego; co tydzień spowiedź, co miesiąc konferencja ascetyczna, dwa razy do roku 3- dniowe skupienie połączone z odnowieniem zakonnych ślubów, co roku, w czasie wakacji ośmiodniowe rekolekcje. Naszą zasadniczą pracą były zajęcia szkolne.

Trzy dni w tygodniu mieliśmy po 6 lekcji ( 2 po południu), dwa dni po cztery lekcje ( po południu przechadzka ).Czwartek był dniem rekreacyjnym, bez szkoły.

Tryb życia wiedliśmy spartański. Pobudka rano o godz. 4:30, gaszenie świateł o 21:30. Regulaminu dziennego należało ściśle przestrzegać. Na wikt nie można było narzekać, ogrzewanie za to zostawiało sporo do życzenia. W niektórych pokojach w nocy przy ostrzejszych mrozach zamarzała woda w umywalkach; no nie do samego dna, tak, że rano na upartej można się było umyć. To nie potrafiło zmrozić naszego zapału do nauki. Bo na naukę byliśmy bardzo łapczywi. Gdyby ktoś obcy pod wieczór wtargnął do naszego domu i przeszedł się po długich, szerokich korytarzach, to byłby zafascynowany iście klasztorną ciszą i trudno byłoby mu uwierzyć, że w przyległych pokojach zamieszkuje prawie 150 lokatorów, w tym ponad stu młodych kleryków. Ta zachłanność na wiedzę wydawała swoje owoce przy maturze. Nie pamiętam wypadku, żeby ktoś ją oblał. Przewodniczącym komisji maturalnej mianowało kuratorium czasem naszego dyrektora, jezuitę ks. Ludwika Wilkoskiego, czasem delegowało kogoś obcego. Woleliśmy tę drugą ewentualność, bo obcy delegat często podnosił nam stopnie, argumentując tym, że w naszym gimnazjum poziom jest wyraźnie wyższy niż w innych państwowych szkołach tego typu.

Stach nie należał wprawdzie do prymusów, gdyż do języków miał raczej słabe zdolności, za to celował w fizyce, matematyce, chemii. W sumie osiągał dobre wyniki. Posiadał za to niezwykle zdolności manualne, czy to techniczne, czy plastyczne. Świadczą o tym dwa fakty. Mieliśmy w Pińsku dużą domową kaplicę. Był i żłóbek na Boże Narodzenie, ale były jakieś malutkie, odlane z gipsu figurki. Stach wyrzeźbił, również w gipsie, cały komplet znacznie większych, pięknych figur. Zaprojektował też dla nich odpowiednią szopkę, ciekawie podświetlił i dzieło zyskało powszechne uznanie. Znajomość obróbki gipsu, bardzo mu się przyda w Workucie. Umożliwi mu w dużej mierze przeżycie tej katorgi. Drugim wyczynem Stacha w Pińsku było zorganizowanie, pod opieką profesora matematyki i fizyki O. Paulina Zabdry, miniaturowej pracowni stolarsko-ślusarskiej, w której powstawały rozmaite urządzenia do doświadczeń fizycznych, czy nawet do codziennego użytku. Pracownię tę wszyscy nazywali „Kiałkownią”.

## Kraków 1934 - 37 - Studium filozofii

Po zdaniu matury połowę wakacji przeżyliśmy jeszcze na uroczym, egzotycznym Polesiu i w drugiej połowie lipca mój rocznik- trzydziestu kilku kleryków- odjechał do Krakowa. Piszę „mój rocznik „, bo ja pozostałem w Pińsku, żeby załatwić wszystkie formalności związane z wyjazdem do Francji. Rozłączymy się więc ze Stachem na trzy lata. Ale przyjaźń pozostanie, podtrzymywana sążnistą korespondencją, która mimo dzielących nas 1,5 tysiąca kilometrów docierała do rąk adresata już na trzeci dzień, czasem nawet na drugi.

Korespondencja zaczęła się, gdy ja jeszcze pozostawałem w Pińsku, bo moi koledzy, którzy wraz ze Stachem wyruszyli do Krakowa mieli podróż niezwykłą. Chyba już od Lwowa pociągi musiały zmieniać trasę, gdyż na Podkarpaciu rozszalała się powódź podobna do tej, jaką przeżyła Polska w 1997 roku. Górskie dopływy Wisły wystąpiły z brzegów, pozrywały mosty, rozmyły drogi i kolejowe tory, już prawie dojrzałe łany zbóż wyglądały jak klepisko po którym przetoczył się potężny walec i wdeptał wszystko w ziemię. Listy z tej podróży odzwierciedlały bardzo odmienne postawy ich autorów. Dla jednych była to ciekawa, niecodzienna przygoda, inni podzielali tragedie ludzi, którym woda zabrała nieraz dobytek i zabudowania. A jak to przeżył Stach? Oczywiście odczuwał głęboko ludzkie tragedie, potrafił dokładnie odmierzyć ogrom trudu rolnika zniszczony przez nieokiełznany żywioł. Ale przy tym nasuwało mu się uporczywe pytanie: czy nie dałoby się ujarzmić rozhukanego żywiołu i zaprząć go do pożytecznej pracy. Jeśli robią to na Zachodzie, jeśli robią to i w Rosji, dlaczego nie w Polsce? Słuszne pytanie. Pamiętajmy jednak, że druga Rzeczpospolita liczyła sobie w roku 1934 dopiero 16 lat wolności. Jeżeli odliczymy z tego dwa lata wojny z bolszewikami i cztery lata światowego kryzysu gospodarczego, zostanie nam ledwie 10 lat normalnej gospodarki. To był czas bardzo krótki jak na odbudowę kraju po 123 latach niewoli i 6 latach wojennych zniszczeń. W rok po katastrofalnej powodzi stanowisko ministra skarbu i wicepremiera obejmie Eugeniusz Kwiatkowski, wychowanek jezuickiego gimnazjum w Chyrowie. Z wielką energią przystąpi do budowy Centralnego Okręgu

Przemysłowego ( COP ). W jego ramach powstanie na Dunajcu k. Rożnowa potężna zapora wodna. Z pewnością Stach żywo interesował się jej budową, zwłaszcza gdy co roku na wakacje przyjeżdżał wraz kolegami na Zabelcze pod Nowy Sącz, gdzie jezuici posiadali dobrze prowadzony folwark. Może nieraz wybierał się na plac budowy, wszak była to realizacja jego marzeń, a odległość z Zabelcza do Rożnowa wynosiła ledwie kilkanaście kilometrów.

Kiedy nasi „poleszacy”, z Pińska okrężną drogą, dotarli wreszcie do Krakowa nie zastali tam swoich starszych kolegów, gdyż ci przebywali na wakacjach właśnie w Nowym Sączu na Zabelczu i tam zostali odcięci od świata przez szeroko rozlane wody Dunajca. Dopiero po dwu tygodniach, ok. 10 sierpnia mogli wrócić do domu. Połączone razem trzy roczniki filozoficznego wydziału liczyły ok. setki studentów, zwłaszcza, że do Krakowa przyjeżdżali również Czesi i Słowacy, którzy u siebie takiego wydziału nie posiadali. Poziomem naukowym Kraków nie odbiegał od analogicznych studiów innych prowincji jezuickich w Europie zachodniej, czy Ameryce. Wszystkie one były afiliowane do uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie, gdzie większość profesorów zdobywała naukowe stopnie, uzupełniając nieraz swoje wykształcenie na uniwersytetach świeckich.

Jakie przedmioty wykładano na jezuickiej filozofii, która była oczywiście scholastyczną? Zaczynało się zawsze od logiki, czyli umiejętności prawidłowego wyciągania wniosków. Uczono zasad, których trzeba przestrzegać przy konstruowaniu jakichkolwiek dowodów i przy wszelkich dyskusjach filozoficznych. Był to wstępny kilkutygodniowy kurs. Następnie szły już przedmioty zasadnicze, jak krytyka: dociekanie natury i wartości ludzkiego poznania, ontologia: zagłębianie się w tajemnicę bytu, kosmologia: zagadka istnienia wszechświata, teodycea: odnajdywanie przez rozum ludzki Tego, który jest źródłem wszelkiego bytu, prawdy, dobra, piękna.

Do tego zasadniczego nurtu wiedzy metafizycznej dochodziły przedmioty, które nazwałbym humanistycznymi, bo dotyczyły natury i działania człowieka, jak: psychologia teoretyczna i eksperymentalna, etyka indywidualna i społeczna oraz historia filozofii od czasów starożytnych aż po czasy najnowsze. Wypada też wspomnieć tak zwane „pobokalia”. To zlatynizowane słowo oznaczało w żargonie kleryckiej wspólnoty



przedmioty poboczne, dodatkowe, wykładane krócej np. przez trymestr, jak antropologia, ewolucjonizm, fizyka, matematyka, traktowane pogładowo bez wchodzenia w szczegółowe zawiłości.

Językiem oficjalnym była łacina ; tzn. wszystkie wykłady, wszystkie egzaminy z wyjątkiem „pobokaliów” odbywały się w tym języku. Stwarzało to pewne problemy dla tych, którzy przychodzili do nowicjatu już po maturze ze szkół bez nauki języka łacińskiego. Ale miało też i swoje dobre strony. Dawało dostęp wszystkim studentom do wiekowego dorobku scholastyki, stwarzało większą jednolitość formacji intelektualnej, umożliwiało wymianę profesorów między uczelniami, wysyłanie za granicę, czy też przyjmowanie z zagranicy studentów.

Jak ocenić poziom naukowy jezuickich fakultetów filozoficznych? Było to znakomite wyższe studium zawodowe z solidną bazą intelektualną, przygotowujące do pracy kapłańskiej i do dalszych studiów: teologicznych, dla których stanowiło jakby pierwszy etap. Wiedza nie była celem dla siebie. Miała charakter służebny w stosunku do apostołstwa, była jego koniecznym i skutecznym narzędziem. Studiowało się, jak to powtarzał z naciskiem święty Ignacy Loyola założyciel jezuitów, Bogu na chwałę, ludziom na pożytek. Nie hamowało to ani dociekliwości w poszukiwaniu prawdy, ani poszerzania intelektualnych horyzontów. Wręcz przeciwnie: bo przecież tylko prawdziwa wiedza może służyć ku chwale Tego, który jest źródłem wszelkiej prawdy, a bliższym tym skuteczniej można pomagać im bardziej poszerzy się własny umysł i serce. To też zapał do nauki był niemały.

Gdy chodzi o metodę uczenia się to hołdowano chyba jeszcze średniowiecznej zasadzie: „Repetitio est mater studiorum” - „powtórka jest matką studiów”. Stosowano ją często i na różne sposoby, poczynając od przepytywanek profesora zamiast wykładu, a kończąc na uroczystej dyspacie w której uczestniczył cały wydział z profesorami i przełożonymi na czele. Te wszystkie powtórki były tylko powtórkami, nie otrzymywało się za nie żadnej oceny. Stopnie natomiast stawiano za pisemne wypracowania i oczywiście za egzaminy.

Najważniejszym egzaminem był końcowy, po trzech latach studiów, z całej filozofii. Materiał wszystkich zasadniczych przedmiotów ujmowano w krótkie tezy, czyli twierdzenia, przygotowane przez grono wykładowców i dostarczane wcześniej studentom. W komisji

egzaminacyjnej zasiadało trzech profesorów. Każdy z nich miał prawo i obowiązek podać studentowi wybraną przez siebie tezę, którą uczeń musiał odczytać, wyłożyć, udowodnić i obronić przed zarzutami egzaminatorów. Trwało to w sumie ok. godziny czasu. Wynik tego egzaminu decydował o tym, czy egzaminowany będzie odbywał dalsze studia, tzn. teologię na kursie „akademickim”, czy „seminaryjnym”. Jakie to miało znaczenie? Otóż na kursie „akademickim” można było zdobywać stopnie naukowe: doktora, docenta, zostać profesorem, w dziedzinie oczywiście wiedzy kościelnej. Kurs seminaryjny takich możliwości nie dawał. Ponadto niektóre najbardziej odpowiedzialne funkcje w zakonie były zastrzeżone dla tych, którzy ukończyli studia teologiczne na kursie akademickim.

Stach, choć był obdarzony raczej zdolnościami praktycznymi, okazał się wystarczająco dobry i w zagadnieniach spekulatywnych i przebrnął bez zastrzeżeń przez trudny egzamin z całej filozofii.

Dom na Kopernika 26 w Krakowie to był nie tylko przybytek filozoficznych studiów. W tymże samym budynku znajdowało się wydawnictwo kilku jezuickich czasopism, jak „Przegląd powszechny”, „Sodalis Marianus”, „Misje Katolickie”, „Posłaniec Serca Jezusowego” i inne. Ukazywało to młodym jezuitom perspektywy przyszłej pracy. A niektórym pozwalało wypróbować po raz pierwszy swe zdolności literackie.

Stacha nie kusiła literatura. Intrygował go raczej kościół Serca Jezusowego wzniesiony w sąsiedztwie uczelni w latach 1910-30, z okazałą wysoką wieżą, w której fundamentach utopiono całe tony ołowiu, by ją uchronić od wstrząsów wywoływanych przez biegnące tuż obok pociągi. Urzekały go zwłaszcza mozaiki o doskonałym rysunku i ogromnie żywej kolorystyce, dzieło w dużej mierze dwóch zakonnych braci Józefa Kurpiera znakomitego rysownika i Wojciecha Pieczonki wykonawcy wszystkich mozaik. Obaj jeszcze wtedy żyli i mieszkali na Kopernika. Chętnie więc zachodził do nich, by pooglądać projekty ich prac, podpatrzeć tajemnice ich sztuki, pogawędzić o ich twórczości. I jeszcze jedno fascynowało go w tym sanktuarium: ołtarze w bocznych nawach: wszystkie w jednym stylu, bo były dziełem jednego artysty: Hukana. Uderzało bogactwo rzeźb postaci ludzkich i anielskich w ogromnym natłoku, a przecież z zachowaniem harmonii; jakiś nieokiełznany dynamizm, a przy tym skupienie i powaga. Za tworzywo do tych niezwykłych rzeźb posłużył Hukanowi specjalny stiuk o szaro kremowym jasnym odcieniu. Niektórym starszym jezuitom wydały się one zbyt

szare, monotonne. Powstał projekt, by je ożywić przez nałożenie polichromii. Stach, jak i większość młodych był temu zdecydowanie przeciwny. Na szczęście zwyciężył szacunek dla twórcy, i rzeźby po dziś dzień zachowały się w niezmiennym stanie.

Jakkolwiek wiele dobrego dałoby się powiedzieć o wystroju świątyni na Kopernika, to jednak Stach żałował, że zrealizowano projekt architekta Franciszka Mączyńskiego a nie Antoniego Wiwulskiego, który również stanął do konkursu. Projekt tego ostatniego wydał mu się architektonicznie ciekawszy, bardziej monumentalny i oryginalny, znaczeniowo bogatszy.

Pozwolę tu sobie na małą dygresję w stosunku do Wiwulskiego. W swojej działalności artystycznej jawi on mi się jako pechowiec. Konkurs na kościół jezuicki w Krakowie przegrywa, mimo że jego projekt był ciekawszy niż konkurenta. Kraków zrealizuje, jego projekt na pomnik grunwaldzki, ale w czasie II wojny światowej Niemcy ten pomnik zniszczą. W Wilnie kościół Serca Pana Jezusa jego projektu będzie ślamazarnie budowany między dwoma wojnami i niedokończony; w latach sześćdziesiątych zostanie przebudowany na pałac kultury. Pomnik trzech krzyży, też jego autorstwa wysadzą w powietrze komuniści litewscy w 1951 r., choć przypominał on historię Litwy na tych ziemiach. Litwini powiedzą na pewno, że to na rozkaz z Moskwy, że gdy przyszedł Saiudis, to w 1989 r. pomnik odbudowano na Trzykrzyskiej górze. To prawda, ale wobec autora posunęli się o krok za daleko. Zrobili z niego Litwina. Na grobowej płycie na Rossie kazali wyryć napis: Antanas Vivulskis. No cóż, umarli nie mogą protestować.

Jednak na bazylice Serca Bożego nie kończyły się zainteresowania poza filozoficzne Stacha. Kraków! świątynia naszej historii i kultury! Nie ma drugiego miasta, w Polsce, które mogłoby pod tym względem z nim współzawodniczyć. Nie wystarczy wymienić jednym tchem: Wawel, Wszechnica Jagiellońska, Kościół Mariacki, Barbakan, Skałka, Sukiennice, dzwon Zygmunta, pomnik grunwaldzki, kopce Krakusa, bł. Bronisławy, Kościuszki, Piłsudskiego. W starym Krakowie każdy kościół, każdy zaułek, każda brama obrosły historią Piastów i Jagiellonów.

Z jakim dreszczem podziwu i olśnienia stawał młody Kiałka, wrażliwy przecież na piękno, przed genialnym arcydziełem Wita Stwosza! Ile głębokiej zadumy budziło się w nim, gdy schodził do krypty pod wawelską katedrą i stawał wśród trumien, kryjących prochy Kazimierzów, Władysławów, Zygmunatów. Czy tylko tyle po nich zostało? Nie! Pozostała po

nich Polska. I on syn chłopa z poznańskiego czuł się ich spadkobiercą. Miał do tego prawo, bo chociaż jego Słupia była tylko wioską zagubioną na obrzeżach Wielkopolski, to przecież ta wioska pełniła skutecznie rolę stolicy na zachodnich kresach Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Na pewno jego patriotyzm zaszczerpiony w rodzinnym domu, pogłębiony przez następne lata nauki i formacji w Kaliszu i Pińsku, tu w Krakowie osiągnie pełną dojrzałość, by wydać godne podziwu owoce w czasie wojennej zawieruchy.

## Wilno 1937...

Po trzech latach studiów filozoficznych Stacha w Krakowie, a moich we Francji spotkaliśmy się w Wilnie. W zasadzie jezuicki kleryk po skończeniu filozofii szedł na teologię, która mieściła się w Lublinie w wielkim gmachu wybudowanym po wojnie (pierwszej). A ponieważ patronem wydziału teologicznego obrano św. Andrzeja Bobolę, stąd wydział ten nazwano Bobolanum. Nazwa ta przyłgnęła również do gmachu, a ogół Lublinian nawet jego mieszkańców nazywał Bobolanami.

Skąd więc Wilno? Otóż między wojnami jezuici polscy parali się również wychowaniem młodzieży (męskiej) w szkołach średnich. Sławne było gimnazjum chyrowskie (szkoła i internat ok. 700 uczniów), z których wyszli tak znamienici ludzie, jak minister E. Kwiatkowski, Antoni Wiwulski, Adam Styka, Aleksander Birkenmajer, Ksawery Pruszyński, Kazimierz Wierzyński. Znakomitą opinią cieszyło się również gimnazjum wileńskie, mniej sławne od chyrowskiego, bo znacznie odeń młodsze (zał. 1922). Od roku 1935 funkcjonowało gimnazjum gdyńskie, mieszczące się tymczasowo w wynajętym budynku w Orłowie. Budowa nowego, wielkiego gmachu miała ruszyć w 1939 r. Kierownictwo tych szkół jak i znaczną część grona nauczycielskiego stanowili jezuici; trzeba ich było do tego zawodu przygotować. Stąd po filozofii klerycy, którzy wykazywali po temu odpowiednie predyspozycje, szli najpierw na studia uniwersyteckie. Kilkunastu takich kleryków z jezuickiej prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej studiowało w Wilnie. Prowincja Małopolska wybrała sobie na ten cel Kraków.

W taki oto sposób ze Stachem staliśmy się studentami matematyki i fizyki na Uniwersytecie Stefana Batorego. Najpierw spędziliśmy razem część wakacji w Żemłosławiu koło Sobotnik. Hrabina Umiastowska podarowała tam znaczne swoje dobra uniwersytetowi wileńskiemu. Na początku roku 1937 wyłączyła z nich pałac, który był wierną kopią centralnej części warszawskich Łazienek i wraz z dużym, pięknym parkiem przekazała go jezuitom. Tuż za parkiem płynęła rzeka Gawia, na tyle zasobna w wodę, że można była po niej pływać kajakami. A dookoła szumiały sosnowe lasy. W takiej scenerii toczyły się nasze rozmowy po trzyletniej rozłące. A było o czym rozmawiać. Nieraz nie starczało dnia, więc zarywaliśmy

noce. Mówiłem mu o tym, że gdy w powrotnej drodze z Francji do kraju przejeżdżałem przez Saint-Etienne, Lyon, Paryż, aż po granicę belgijską, nie pamiętam, żeby widział choć jednego francuskiego żołnierza. W Belgii spotykało się raz po raz mundury, ale nie za wiele. Za to Niemcy wyglądały jak wielki wojenny obóz. Wojna szła wielkimi krokami. Francuzi mówili wyraźnie, że za Gdańsk, czy „korytarz” (czytaj: polskie Pomorze) umierać nie będą. Okazało się, że nie chcieli umierać nawet za Francję.

Wilno, stolica ongiś Wielkiego Księstwa Litewskiego; jak je Stach przeżywał bezpośrednio po Krakowie? Czy nie był rozczarowany? Czy nie wydawało mu się zapadłą prowincją? Nic podobnego. Był nim oczarowany od pierwszej chwili podobnie, jak i ja. Moja droga do Wilna owego roku Pańskiego 1937 wiodła przez Paryż, Brukselę, Berlin, Warszawę. Mogłem więc na świeżo porównywać swoje wrażenia. I zapewniam czytelnika, że gród nad Wilią, wbrew temu, co pisze Miłosz, nie jawił mi się jako miścina na peryferiach Europy. Miłosz używa bardziej dosadnego określenia, które aż powtarzać hadko, jak by powiedział pan Podbięta .

Oczywiście Wilno nie imponowało rozmachem wielkich pałaców, ratuszów, oper, muzeów, rozmiarami placów obrzeżonych wspaniałą architekturą, perspektywnym ciągiem ulic i alei; ale żeby coś było piękne, czy musi być „kolossal”? Czy i miniatury nie mogą być arcydziełami sztuki? Przejdźmy do konkretów. Czy jest na świecie drugi Świętomichalski zaułek, gdzie za którymś zakrętem zjawiałyby się nagle fasady aż trzech kościołów? Ma Paryż swoje słynne wzgórze Montmartre zwieńczone bizantyjską bazyliką, Serca P.J. z końca XIX wieku, ale ja wolę wzgórze Gedymina z jego basztą o sześć wieków starszą od bazyliki. Ma Paryż swój Louvre - siedzibę niegdyś francuskich władców- nie wiem, czy tak wielki gmach pomieściłby się wogóle w przedwojennym Wilnie- ale przecież kompleks uniwersyteckich zabudowań z dziedzińcami i kościołem św. Jana, to perła architektury, którą można się zachwycić, szczególnie dziś po starannej konserwacji przeprowadzonej przez Litwinów. Cześć im za to i chwała. Ma Paryż kościół Inwalidów, a w nim monumentalny, fantastyczny grobowiec Napoleona. Również na tyłach uniwersytetu Stefana Batorego odnajdujemy pałac i plac Napoleona: plac niewielki, bardzo zaciszny i pałac nieduży, i dlatego właśnie tak bardzo urocze. Jak na epizodyczną rolę Napoleona w Wilnie starczy to za grobowiec u Inwalidów. Kiedy tenże Napoleon patrzył na kościółek Św. Anny, to, jak sam wyznał, odczuwał ochotę,

by wziąć go na rękę i przenieść do Paryża. A Napoleon znał się na dziełach sztuki: tyle ich narabował w Europie i gdzie indziej. Nie <sup>posiada</sup> ~~ma~~ wprawdzie Wilno swojej Notre Dame, nie zapominajmy jednak, że kolumny na froncie katedry wileńskiej nie miały konkurencji w przedwojennej Polsce, a w jej wnętrzu kryły się prawdziwe perły architektury, jak np. kaplica św. Kazimierza. Za to takie kościoły jak św. Kazimierza, czy świętych Piotra i Pawła mogły bez żenady zająć miejsce w każdej z europejskich stolic. A że w wileńskich kościołach stiuki zamiast marmurów; to nie zarzut. W wileńskim klimacie, gdzie różnice temperatur latem i zimą wynosiły nieraz ponad 50 °C stiuk radził sobie znacznie lepiej, niż marmur który ma większy współczynnik rozszerzalności i większe przewodnictwo cieplne, stąd łatwiej ulega erozji i traci gładki szlif. Zresztą i stiuki tak jak marmury mogą mieć różną klasę, wileńskie były na ogół najwyższej jakości.

Nie mogę pominąć jednego klejnotu, który stanowi serce Wilna: Ostra Brama. Gdzież na świecie znajdzie się drugie takie sanktuarium: wprost na ulicy, żeby modlitwy wiernych nie musiały się przebijać przez sklepienia i mury, a unosiły się bez przeszkód, prosto w otwarte niebo? Może coś z tego odnajdujemy w Lourdes przy grotcie masabielskiej. Lourdes jednak to dopiero r. 1858, a Ostrobramska króluje w Wilnie już trzysta lat wcześniej. Więc pewno Niepokalana z Lourdes wzorowała się na Ostrobramskiej Matce Miłosierdzia.

Miało w sobie Wilno jeszcze jedną cechę: to urokliwość. Od pierwszego dnia pobytu czułeś się jak u siebie, jak swojak. Na tę swojskość składało się wiele czynników: <sup>2)</sup> położenie w zakolach Willi i jej urwiste, brzegi i wzgórze zielone i architektura nie przytłaczająca swym ogromem, taka na miarę ludzką, choć nie pozbawiona nieraz bogactwa i rozmachu, zwłaszcza w kościołach i przede wszystkim chyba ludność: ludność kresowa, tzn. tolerancyjna, ale zarazem i bardzo patriotyczna. Gdy chodzi o walkę z okupantem w czasie wojny, to chyba należałoby Wilno postawić zaraz obok Warszawy.

Nic więc dziwnego, że my ze Stachem poczuliśmy się w Wilnie bardzo szybko, jak u siebie w domu. Oczywiście nie spędzaliśmy czasu na romantycznych marzeniach. Prędko przyszedł rok akademicki, a z nim twarda konieczność zdobywania wiedzy.

## Studia uniwersyteckie 1937-39

Nie będę się rozpisywał na temat studiów na Uniwersytecie Stefana Batorego. To temat bardzo banalny i znany. Jeżeli się je bierze poważnie, jest to po prostu ciężka harówka. Dla nas jednak były one szczególnie ciężkie, bo złapaliśmy od początku zwariowane tempo. Zapisaliśmy się na wydział matematyczno - przyrodniczy, ale nie wiedzieliśmy na co się konkretnie zdecydować: matematyka czy fizyka? Fizyka wydawała się nam bardziej ciekawa, ale trwała dłużej: sześć - siedem lat do magisterium, o ile wszystko się dobrze układało. To była norma. A matematykę gdy ktoś się solidnie przyłożył, można było zrobić i za cztery lata. Nam się spieszyło, bo po uniwersytecie czekało nas jeszcze cztery lata teologii i święcenia kapłańskie. Zresztą i tak w stosunku do innych studentów byliśmy spóźnieni o pięć lat (dwa lata nowicjatu i trzy filozofii). Ponieważ jednak na dwu pierwszych latach prawie cały program matematyki mieścił się w programie fizyki, więc powiedzieliśmy sobie, że na razie przez dwa lata bierzemy z obu przedmiotów wszystko co jest do wzięcia tzn. łapiemy wszystkie wykłady i pracownie, zdajemy wszystkie kolokwia i egzaminy, a na trzecim dokonamy wyboru. Skutek był taki, że na drugim roku w I trymestrze mieliśmy tygodniowo pięćdziesiąt pięć godzin ćwiczeń i wykładów, ale wylądowaliśmy bez zaległości. Niestety w trzecim roku przegraliśmy wyścig z wojną. W połowie grudnia 1939 r. władze litewskie zamknęły Uniwersytet Stefana Batorego.

Wypada jeszcze parę słów poświęcić naszym profesorom, dla których żywiłiśmy wielki szacunek za ich wiedzę i kulturę. Zacznę od tych, którzy prowadzili wykłady dla nas fizyków poboczne. Profesor Stanisław Małkowski: spokojny, opanowany pan, od którego emanowała życzliwość do studentów. W tajemnice gwiazdowego nieba wprowadzał nas prof. Władysław Dziewulski. Mieszkał z rodziną w niedużym, nowym budynku uniwersyteckim na Zakrecie. Tam właśnie słuchaliśmy jego wykładów. Grono było nieliczne: najwyżej kilkanaście osób. Traktował nas trochę jak swoich gości, wytwarzała się atmosfera isticie rodzinna. Wykłady z fizyki odbywały się w wielkiej amfiteatralnej sali na Nowogródzkiej. Uczestniczyli w nich studenci z różnych działów, a więc oczywiście z fizyki, ale i z chemii, farmacji, przyrody, matematyki, chyba i z medycyny. Grono słuchaczy liczyło ponad sto pięćdziesiąt osób,



więc i kontakt z profesorami był słabszy. Wykładali profesorowie: Józef Patkowski i Wacław Dziewulski, brat astronoma. Różnili się tym, że gdy chodziło o przeprowadzenie doświadczeń potwierdzających jakąś teorię, czy twierdzenie, to pierwszemu rzadko coś wychodziło, u drugiego natomiast wszystko "grało" jak w szwajcarskim zegarku, Zresztą Patkowski w 1938r. odepłdź do pracy w ministerstwie oświaty.

Przedmiotem jednak, który najbardziej dał się nam we znaki, była z pewnością matematyka. W tej dziedzinie byliśmy zdani głównie na dwu profesorów: Zygmunta i Jantzena. Ten pierwszy wykładał rachunek różniczkowy i całkowy. Człowiek szalenie kulturalny, bardzo spokojny, taktowny i otwarty. Wysokiej miary uczoney. Poglądy polityczne miał lewicowe, ale przy tym patriotą. Gdy we wrześniu 1939 r. bolszewicy zajęli pół Polski, miał powiedzieć: Głównym naszym wrogiem to bolszewicy, bo z Niemcami rozprawi się Zachód. Gdy za Litwinów otworzyła się przed nim możliwość wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, wahał się, czy wolno mu z niej skorzystać, czy nie jest to ucieczka z placu boju. Inni będą walczyć, narażać się, a on będzie spokojnie czekać końca wojny. Zdecydował względ na żonę, która załamywała się psychicznie i gotowa była wyjechać choćby sama. Profesor Jantzen wykładał geometrię analityczną. Był legionistą, miał częściowo sparaliżowane nogi, jeszcze bardziej ręce i nieco zdeformowaną twarz: podobno pamiątka po wojnie. Swoje wykłady dyktował asystentowi Sokołowskiemu, który je bardzo sprawnie wypisywał na trzech tablicach. Gdy zapisał już wszystkie trzy, zmazywał to co było na pierwszej i pisał dalej.

Byliśmy pełni uznania dla obu wykładowców: przez całą godzinę dyktowania i wypisywania zawiłych przecież działań i dowodów matematycznych, nigdy nie posługiwali się żadnymi pomocami.

Najwięcej jednak zaszedł nam za skórę na matematyce J. Marcinkiewicz, najpierw asystent profesora Zygmunta, a potem docent prowadzący ćwiczenia i kolokwia z rachunku różniczkowego i całkowego. W swoich wymaganiach był bezwzględny. Nie rozumiał, że czegoś w matematyce można nie rozumieć. Na kolokwiach pisemnych za najdrobniejsze ściąganie, porozumiewanie się, zabierał niedokończone wypracowanie, a delikwentowi kazał opuścić salę. Z reguły na każdym kolokwium wyrzucał kilka osób. Za pierwszym razem zdawała je jedna trzecia kursu.

Pewnego razu prosiliśmy profesora Zygmunta, żeby powiedział panu Marcinkiewiczowi by był łagodniejszy, bo on nas po prostu terroryzuje i my wyrwani do tablicy czy podczas kolokwium ze strachu zapominamy o wszystkim. Na to profesor odpowiedział: „Proszę państwa ja pana Marcinkiewicza boję się nie mniej niż państwo!”. Był bez wątpienia Marcinkiewicz najwybitniejszym z matematyków wileńskich. W ciągu dziesięciu lat zrobił magisterium, doktorat, habilitację i w 1939 r. otrzymał propozycję objęcia katedry matematyki w Poznaniu. Niestety w tym samym czasie dostał kartę mobilizacyjną i ślad po nim zaginął. Jeszcze w czasie wojny rozeszła się wieść, że został zamordowany w Katyniu. Widocznie Niemcy zidentyfikowali jego nazwisko podczas ekshumacji w 1943 r. Odnalazłem je później w rejestrach NKWD, jakie prezydent Wałęsa przywiózł z Moskwy. Profesor Zygmund napisał o nim wspomnienie w „Mathesis Polska” chyba w latach sześćdziesiątych. Zaznacza, że nauka polska poniosła przez jego śmierć niepowetowaną stratę, bo jak się wyraża: on był najzdolniejszy z nas wszystkich, a choć byłem jego profesorem nie zawsze nadążałem za jego myślą.

Z młodszego grona, jeszcze wówczas studentów, wyróżniał się Jeśmanowicz: matematyk, poeta i znakomity karykaturzysta, oraz Niewodniczański, który chyba zrobił w Wilnie habilitację.

## Wrzesień 1939-Wyprawa na wojnę

Tragedię wrześniową poprzedziło dość ważne dla nas tzn. dla Stacha i dla mnie przeżycie: obóz harcerski nad Wigrami. Dołączył do nas jeszcze trzeci wspólny nasz przyjaciel od nowicjatu kaliskiego , a mój krajan z Łowickiego , Józef Wieteska , który tak jak my studiował na USB, tylko nie fizykę , a historię. Był to obóz szkoleniowy dla kleryków z całej Polski pod kierunkiem ks. kanonika Luzara , naczelnego kapelana ZHR. Przewidziany termin od 1 do 17 sierpnia. Wojna jednak wisiała na włosku , stąd mieliśmy polecenie , że w razie rozkazu władz wojskowych przedterminowego zwinięcia obozu , musimy w ciągu 24 godzin z całym majdanem znaleźć się na dworcu w Suwałkach.(15 km .) Zjechało na ten obóz chyba ze stu pięćdziesięciu kleryków. Alarmu na szczęście nie było , szkolenie odbyło się normalnie , ale napięcie patriotyczne sięgało szczytów. Toteż kiedy na pożegnanie ks. kanonik Luzar zapytał , gdzie się spotykamy za rok , odkrzyknęliśmy pół żartem , pół serio , ale zgodnym chórem: w Królewcu ! Były to „pobożne życzenia” , które odzwierciedlały jedno przekonanie : po wojnie nie będzie Prus Wschodnich. Nie braliśmy w rachubę , że w wyścigu do Królewca wyprzedzą nas Rosjanie.

W parę dni po naszym powrocie znan Wigier do Wilna ogłoszono mobilizację. Oznaczało to wojnę na dniach . Te dni wypełniliśmy przygotowaniem schronu przeciwlotniczego w solidnych piwnicach pod zakrytą i zorganizowaniem przeciwpożarowego pogotowia.

Zaczął się pamiętny wrzesień. Pamiętny między innymi przez suchą , słoneczną pogodę , tak bardzo sprzyjającą niemieckim pojazdom na naszych drogach i niemieckim samolotom na polskim niebie. Wilno poza paru niedużymi nalotami na lotnisko i mosty na Wilii nie odczuwało prawie wojny. Znalazło się na uboczu wojennych działań. Słuchając komunikatów radiowych , nie mogliśmy , tzn. Stach i ja , znieść tej myśli , że Ojczyzna w potrzebie , a my młodzi , zdrowi ludzie siedzimy beczynnie. To samo czuł i myślał Ziuk Wieteska. Postanowiliśmy działać. Wysłaliśmy na miasto najbardziej ruchliwego z nas , Stacha. Po dwóch dniach poszukiwań wrócił z pomyślną wiadomością .Z Wilna odjeżdża na front kompania

sanitarna w ramach jakiejś dywizji . Przyjęcie do niej zależy od pułkownika , który zna dobrze o. Kucharskiego.

Kto by go wówczas w Wilnie nie znał . Więc my jak w dym do Ojca. Obiecał pośredniczyć. Pośrednictwo okazało się skuteczne. Uzyskaliśmy pozwolenie przełożonych. Przebraliśmy się w harcerskie mundurki, wrzuciliśmy nieco żywności do plecaka , otrzymali błogosławieństwo na drogę od ojca rektora i w towarzystwie o. Kucharskiego , już o zmroku , pocwałowali na dworzec konną dorożką. Przy Ostrej Bramie krótkie , ale bardzo gorące oddanie się w opiekę Matce Miłosierdzia. Za chwilę wpadliśmy w rozgardiasz żołnierskiej wiary ładującej do otwartych wagonów towarowych skrzynki z lekami , konie , małe wileńskie furmanki , kuchnie polowe , prowiant. Meldujemy się u dowódcy majora Królikowskiego i dostajemy przydział każdy do innego plutonu. Wreszcie wszystko załadowane - pociąg rusza. Była chyba godzina 11 przed północą , dzień 6 września.

Miarowy stukot kół uspił nas prędko .Gdy się obudziliśmy , na wrześniowym niebie świeciło już słońce. Jechaliśmy na południowy-zachód. Ale gdzie dokładnie jesteśmy? Niebawem sytuacja się wyjaśniła ,bo dojechaliśmy do nieco większej stacji. Była to Sokółka , w połowie drogi między Grodnem i Białymstokiem .Tu mieliśmy otrzymać bojowy chrzest. A odbyło się to tak :

Stoimy na dworcu przy pierwszym peronie ; na dalszych torach cztery inne pociągi towarowe , wszystkie długie jak tasiemce. Tuż za stacją pasmo niewysokich pagórków zamyka horyzont. I nagle zza tych pagórków wyskakuje samolot .Leci wzdłuż torów tuż nad ziemią. Chyba Niemiec. Żołnierze próbują wyskakiwać z otwartych wagonów, by się schronić w budynku dworcowym , ale samolot jest już nad głowami .W ryk motorów wdziera się terkot karabinu maszynowego .Nasza obrona-myślę . Nie ! To strzela niemiecki „stukas”. Tak z pewnością on , bo obok rozpryskuje się od pocisków żwir na peronie .

Samolot znikł nagle , jak nagle się pojawił . Na peronie skacze na jednej nodze żołnierz jęcząc z bólu . Drugą nogę przeszła mu kula . Z sąsiedniego wagonu znoszą ciężko rannego z przestrzeloną klatką piersiową . Z kompanii ubyło dwóch sanitariuszy .

Gdyśmy ochłonęli z pierwszego wrażenia , wybieramy się z Ziukiem na zwiady , bo powiadają , że samolot zrzucił bomby . Idziemy wzdłuż naszego pociągu w kierunku lokomotywy . Napotykamy grupkę żołnierzy . Przypatrują się bombie , która otarła się o

oficerski wagon , jedyne osobowy w naszym składzie , przekoziółkowała na sąsiedni tor , gdzie stał drugi pociąg i ... nie wybuchła . Ważyła chyba 50 kg . Idziemy dalej : niedaleko lokomotywy leży druga , taka sama . Na sąsiednim torze , trzecia . Trzy bomby , trzy niewypały . Przyglądamy się im bliżej . Dostrzegamy markę fabryczną : czeska . Odnajdujemy Stacha , by się podzielić naszym odkryciem . Wspólnie dochodzimy do jednego wniosku : fachowy sabotaż . Niech żyją bracia Słowianie !

W pechowej Sokółce nie stoimy długo . Pchamy się dalej na Białystok . 20 km . jazdy i stacja Czarna Wieś . Tym razem stajemy przezornie poza dworcem , żeby nie robić tłoku . Nie czekaliśmy długo na powtórny wizerunek stukasa . Dostrzegliśmy go w porę i dali nurka : większość do olszynki rosnącej tuż przy torze , reszta pod kolejowy mostek na którym stał pociąg . Niemiecki lotnik dostrzegł nasz manewr , spuścił się nisko i siek z karabinu maszynowego aż z drzew leciały liście . Na szczęście wzdłuż olszynki biegł osuszający rowek bez kropli wody , dość głęboki i dosyć wąski , tak że można się było weń wtulić na leżąco . Napastnik z piekielnym warkotem przeleciał nad nami i pomknął dalej . Myśleliśmy , że to koniec przygody . Tymczasem on szerokim łukiem zawrócił do tyłu i znów wali na nas . Znowu zapadamy w opatrnościowy rów . Ale nie wszyscy . Mamy w naszej kompanii kilkunastu żołnierzy z karabinami na wszelki wypadek , dla osłony . Niektórzy z nich próbują się zmierzyć ze stalową maszyną . Pukają do niej , gdy nadlatuje i dopiero w ostatniej chwili chowają się za drzewa . Jeden jest tak zawzięty , że ani na chwilę się nie kryje . Drogo zapłacił za tę odwagę . Chyba za piątym , czy szóstym atakiem , bo tyle razy szarżował na nas samolot , dostał postrzał w brzuch . I znów straciliśmy jednego towarzysza broni . Po tym nalocie kompania wyładowała się z całym sprzętem i „borem lasem” ruszyła dalej . Sprzęt jechał na wozach , a my na piechotę . Wędrówka trwała całą noc . Rano dotarliśmy do Białegostoku i zapadliśmy w podmiejski las .

Nasz leśny biwak poświęciliśmy na dogłądanie koni , wozów i na sen . Spało się wprost na ziemi , w cieniu drzew . Kuchnie polowe gotowały na śniadanie kawę . Mocno przezroczyta była ta żołnierska kawa i trzeba było wierzyć , że osłodzona . Na obiad szła zupa z „maggi” i tłuczone ziemniaki , które żołnierze nazywali kaszą . Zdaje się , że na tym pierwszym biwaku umundurowano nas „ trzech muszkietierów” . Butów i czapek żołnierskich nie dorobiliśmy się w ogóle , bo podobno brakowało odpowiednich numerów .

Z Białegostoku wyruszyliśmy 8 września wieczorem . Rano przekraczaliśmy most na Narwi , by na dzień zapaść w las . W następną noc maszerowaliśmy do Bielska . Tu dziesiątego pod wieczór znów załadunek na pociąg . Żeby było ciekawiej , nadleciały chyba messerschmitty i obrzuciły nas bombami zapalającymi .Skończyło się na strachu i spłonięciu jakiejś pustej szopy stojącej przy rampie .

W nocy minęliśmy Brześć . Koło południa 11-o przejeżdżaliśmy Prypeć . Poprzedniego dnia niemieckie lotnictwo zrzuciło na most spory ładunek amunicji . Świadczyło o tym kilkanaście głębokich lejów po bombach na obu brzegach rzeki . Z pewnością niemniej bomb trafiło do wody . Na szczęście most , zbudowano w taki sposób , że każdy z dwu torów kolejowych był przerzucony przez rzekę oddzielnie . Dzięki temu mogliśmy przejechać bez przeszkód , mimo że jeden tor został uszkodzony . Jeszcze za dnia dotarliśmy do Kowla . Zatrzymaliśmy się na jakiejś małej podmiejskiej stacyjce , skąd bardzo dobrze było widać cały Kowel . Staliśmy się mimowolnymi świadkami niemieckiego nalotu na miasto .

Ruszyliśmy dalej w kierunku Łucka . Na tym odcinku , gdyśmy stali w szczerym polu , przeżyliśmy jeszcze jedną przygodę wojenną . Nadleciały nieprzyjacielskie bombowce . Tym razem nas wzięły na cel . Kryjemy się w lesie , który z prawej strony podchodził prawie do toru – i jesteśmy bezpieczni ... Nie bardzo... Samoloty , zamiast bombardować pociąg zostawiony na szynach , rzucają bomby na nas . Świst , detonacje , ziemia drży... Powoli wybuchy stają się rzadsze , słabnie warkot motorów , w przyrodzie znów cisza pogodnego wieczoru . Na szczęście wyszliśmy bez żadnych strat . Las okazał się wiernym sprzymierzeńcem .

Z Łucka skręciliśmy na Lwów i od Horochowa znów ruszyliśmy piechotą i my i nasze koniki . Wędrowaliśmy nocą , na dzień zapadaliśmy w lasy , żeby nie kusić niemieckich samolotów . W ten sposób dotarliśmy do Kamionki Strumiłowej i skręciliśmy na wschód , żeby ominąć Lwów , który od zachodu był oblegany przez Niemców . Przeszliśmy przez Złoczów i pomaszerowaliśmy w kierunku Brodów . Tu bowiem , na wschód od Lwowa na pograniczu Rumunii planowano ostatnią linię oporu .

Nie było nam jednak dane zagrzać miejsca i pod Brodami . Po dotarciu tam otrzymaliśmy 17-o po południu rozkaz : wracać na Lwów . Co się stało ? Dlaczego nie skierowano nas do Lwowa wprost z Kamionki , a kazano kluczyć ? Powoli sytuacja zaczęła się

wyjaśniać .Do kompanii przenikały wieści , że od wschodu wkroczyli bolszewicy . Cofaliśmy się,oczywiście nocami . Odwrót nasz utrudniała sunąca w przeciwnym kierunku ~~sunęła~~ karawana samochodów różnego typu . Nie zdawaliśmy sobie sprawy , że na naszych oczach przedzierał się do Rumunii Rząd Polski i różne jego agendy .

19-o po południu wchodziliśmy do Lwowa . Każdy z naszych trzech plutonów został ulokowany w innym miejscu . Tuż po nas nadciągnęły wojska radzieckie i zatrzymały się przed miastem , nie wszczynając żadnych działań . Lwów przypominał miasto oblężone . Od dziesięciu prawie dni Niemcy próbowali go zdobyć . Dokonali paru nalotów , a potem stosowali nekający ostrzał artyleryjski , zwłaszcza nocami . Nie załamało to ani wojskowej załogi , ani ludności . Dokuczał brak wody , prądu , skąpe było zaopatrzenie w żywność . Sklepy otwarte dorywczo , nieczynna komunikacja miejska . Ale czego nie brakowało , to woli walki . Lwów nie myślał o poddaniu się .

Kiedy jednak i od wschodu zamknął się pierścień oblężenia , stało się jasne , że dalsza obrona nie ma sensu . Trzeba więc było zdecydować , komu się poddać . Zwołano naradę władz cywilnych , kościelnych i wojskowych . Przeważyło zdanie tych ostatnich . Głównym argumentem było to ,że ze Związkiem Radzieckim nie prowadzimy wojny , więc zarówno żołnierze jak i oficerowie nie dostaną się do niewoli . I to było zawarowane w warunkach kapitulacji .

22 września wczesnym popołudniem sowievi zajęli Lwów . Dziwna to była armia: ubrana po dziadowsku , karabiny na sznurkach , ale czołgów , trzeba przyznać ,mieli dużo . Były one strasznie grzechotliwe . Już po powrocie do Wilna wpadło nam do ręki żołnierskie czasopismo wehrmachtu . Podawało ono między innymi kalendarz niemieckich sukcesów w Polsce . Znalazła się w nim notatka tej treści : 21 września nasze oddziały zdobyły Lwów i przekazały go sprzymierzonej armii radzieckiej . Mogę zapewnić czytelnika , w imieniu całej naszej trójki , żeśmy we Lwowie nie widzieli na oczy ani jednego niemieckiego żołnierza.

## Powrót z wojny

Po kapitulacji spotkaliśmy się w domu naszych zakonnych współbraci, by się zastanowić, co dalej. Rozważaliśmy różne możliwości. Najchętniej powędrowalibyśmy na Zachód. Ale jak? Przez Rumunię? Nie dojdziemy za daleko: albo zatrzymają nas po drodze sowieccy bajcy, albo Rumuni wsadzą nas do obozu. Węgry? Wiadomo: Polak, Węgier dwa bratanki. Niestety doszły nas informacje, że węgierska granica zamknięta. Pozostały więc dwie możliwości: Niemcy, albo Sowieci. Wybór trudny między diabłem i belzebubem. Wybraliśmy belzebuba tzn. Związek Radziecki. Przeważało Wilno. Tam jesteśmy u siebie w domu, znamy warunki, środowisko, jakoś łatwiej będzie się odnaleźć w zmienionych warunkach. Zresztą idziemy na północ równolegle do linii demarkacyjnej, to będzie jeszcze okazja do skierowania się na zachód. Nazajutrz rano ruszamy w drogę: oczywiście na piechotę, bo pociągi jeszcze nie kursują. Chcieliśmy na drogę przebrać się w zakonny strój, jednak sutanny, które ofiarowali nam lwowscy Jezuici nie pasowały do naszych figur. Wyglądaliśmy w nich jak przebierańcy, a więc podejrzanie. Wróciliśmy wobec tego do wojskowych mundurów. Zdawaliśmy sobie sprawę, że to nie jest najbezpieczniejszy ubiór. Jeśli np. sowiecka władz uzna nas za jeńców wojennych to żadna siła nas nie uchroni przed wysłaniem na 'białe niedźwiedzie'. Na trasie Lwów - Wilno (700km) wszystko może się przydarzyć. Wyruszyliśmy więc w drogę zdani na Opatrzność Bożą i licząc na łut szczęścia.

23.09.ok.godz.10 przed południem byliśmy na roгатce. Tu jakiś półmundurowy komisarz o wydatnie semickich rysach wystawił nam zaświadczenia i życzył szczęśliwej drogi. Nienajgorzej, oby tak dalej! Od roгатki przyłączyło się do nas jeszcze dwóch towarzyszy niedoli: pan Sienkiewicz, polonista naszego gimnazjum wileńskiego, porucznik artylerii i jego młodszy kolega, również artylerzysta, Jurewicz, student medycyny na USB, obaj przebrani za cywila. Ten ostatni był strasznym pesymistą. Radził iść lasami i polami, nocować po stogach i stertach, bo na drodze aresztują nas bolszewicy, rozstrzelają, a może nawet przedtem poddadzą torturom. Był jeden sposób, by przerwać to krakanie, a mianowicie przytakiwać mu we wszystkim i wymyślać jeszcze większe okropieństwa niż on sam.

Gdy się ściemniało, dochodziliśmy do jakiejś dużej wsi. Wbrew ostrzeżeniom Jurewicza zatrzymałem jakiegoś przechodzącego człowieka i zapytałem, czy jest w tej wsi



kościół łaciński. Odpowiedział twierdząco, pokazał drogę i dodał że ksiądz przyjmuje wszystkich żołnierzy. Bez trudności trafiliśmy na plebanię, przedstawiliśmy się kim jesteśmy. Kazał gosposi zaopiekować się nami. Dała nam prawie pustą izbę. Całe umeblowanie stanowił stół i kilka krzeseł. Przyniosła dwa składane materace. Starczyło dla każdego pod głowę i jeszcze jedna część została.

- Panowie pewno głodni ?

- Mamy jeszcze trochę sucharów wojskowych. Bylibyśmy wdzięczni za wrzątek.

Za kilkanaście minut zjawił się na stole duży dymiący kamienny garnek, a w nim zacierka z najczystszym, najprawdziwszym mlekiem! Nigdy ani przedtem, ani potem nie jadłem tak wspaniałej zacierki. Przy wieczornym pacierzu całym sercem dziękowaliśmy Bogu za „łut szczęścia”.

Na razie celem naszej pieszej wędrówki był Łuck ok. 140 km. na północny - wschód od Lwowa; a potem może ruszą pociągi. Zdawaliśmy sobie sprawę, że na tej trasie czyha na nas pewne niebezpieczeństwo. Tereny te były zaludnione w większości przez Ukraińców. Wiadomo, jakie uczucia żywili do Polaków. Stąd żołnierze, a wracała wtedy do Wilna cała dywizja, łączyli się w większe grupy, przynajmniej po kilkanaście osób, co musiało budzić respekt. Trzeba jednak przyznać, że Ukraińcy nie byli agresywni w stosunku do nas. Okazywali obojętną obcość. Na wszelkie propozycje czy prośby o kawałek chleba, czy łyżkę gorącej stawy, odpowiadali niezmiennie: "Ne ma panoczku, ne ma". Nie prawdą jest jednak, że napadli na polskich żołnierzy. O żadnych takich wypadkach nie słyszeliśmy. Zresztą oni sami byli zawiedzeni zaistniałą sytuacją. Czekali na Niemców, a przyszli bolszewicy.

26 września dotarliśmy do Łucka, przez Kamionkę, Strumiłową i Horochów, zmęczeni, ale żywi i zdrowi. Postanowiliśmy trzymać się odtąd linii kolejowej, bo już zaczęły kursować pociągi. Nocą złapaliśmy pociąg do Kiwerc, nawet osobowy, ale miał powybijane wszystkie szyby. Marziliśmy niemiłosiernie, bo już się zaczęły jesienne chłody. W Kiwercach koło południa nadarzył się towarowy do Równego Skorzystaliśmy z okazji. Siąpiło od rana, a wagony były otwarte. Przemokliśmy do cna. Gdy pod wieczór wysiedliśmy w Równem, mieliśmy jedno pragnienie: wyschnąć! Poszliśmy na plebanię. Wylegitymowaliśmy się proboszczowi, przedstawili swoją sytuację. Nie wpuścił nas do środka, odesłał do stodoły. Niestety tam tłok był taki, że mogliśmy się zmieścić tylko na stojąco. Poszliśmy w miasto

szukać gościnniejszego domu. Ulice były opustoszałe, spotkaliśmy jednak jakiegoś przechodnia. Prosimy o informację: gdzie moglibyśmy znaleźć trochę miejsca do rozwieszenia mokrych ubrań, kawałek podłogi na legowisko dla pięciu ludzi. „Tyle to i u mnie się znajdzie”- odpowiedział. Istotnie było to tylko tyle: mały hał wejściowy 3x3 m. Każdemu przypadło 60 cm. x 2m. i w nogach zostało jeszcze wolne przejście dające dostęp do trojga drzwi: na zewnątrz, do pokojów i do łazienki. Ciasno było i twardo, lecz trochę wygodniej niż w księżej stodole. Rano byliśmy jeszcze wilgotni, ale już z nas nie kapło.

Na śniadanie gospodarz poczęstował nas gorącą herbatą i chlebem z wędliną, która miała niezwykajny smak. Na pożegnanie powiedział nam, że jest żydem, z zawodu adwokatem. Zbaranieliśmy. Gratulowaliśmy mu nienagannej polszczyzny. Tak bardzo żywo przypomniła się nam przypowieść o dobrym Samarytaninie. Zrozumieliśmy również, dlaczego wędliny miały nietypowy smak: były koszerne.

Pokrzepieni ludzką życzliwością, powędrowaliśmy na dworzec. Tu nasi dwaj artylerzyści odłączyli się od nas, uważając słusznie, że nasze żołnierskie mundury mogą rzucać cień podejrzenia na ich cywilne ubrania. Na dworcu stało parę składów towarowych, ale żaden nie był jeszcze pod parą. Poszliśmy na miasto, już tylko we trzech, żeby poszukać piekarni, bo skończył się nam zapas wojskowych sucharów. Mieliśmy wprawdzie kilogramowe bloki czekolady kupione w Białymstoku na czarną godzinę, próbowaliśmy nią, poprzedniego dnia, zaspokoić głód. Na śniadanie jakoś to poszło. Na obiad już szło bardzo słabo, a na kolację, patrzeć nie mogliśmy na czekoladę. Leżała spokojnie na dnie chlebaka, a żołądek dopominał się gwałtownie o chleb. Piekarnia znajdowała się dość daleko od dworca, na obrzeżach miasta. Po drodze przyplątał się do nas jakiś cywil i usiłował nachalnie przystać do naszej trójki. Ledwośmy się go pozbyli. Wyprawa okazała się bardzo udana. Właścicielka sklepu, żydówka, wpadła najpierw w panikę, kiedy świeże kajzerki bułki z cebulką, chałki zniknęły w naszych kieszeniach i chlebakach. Uspokoila się nieco, gdyśmy zaczęli skrupulatnie liczyć, co kto wziął, a gdy zapłaciliśmy więcej, niż zażądała, była wyraźnie uradowana.

W drodze powrotnej zaskoczyły nas trzy niepokojące epizody. W pewnym momencie przechodziliśmy obok niedźżego skweru ogrodzonego wysokim parkanem obrzeżonym kolczastym drutem. Wewnątrz znajdowała się znaczna gromada polskich żołnierzy. Jeden z nich stał osobno, niedaleko od nas.

- Kolego, kolego!

Podszedł jeszcze bliżej.

- Co tu się dzieje?

- Uciekajcie, gdzie pieprz rośnie!

Nie trzeba nam było tego dwa razy powtarzać. Oddaliliśmy się czem prędzej od tego miejsca. Nie ochłonęliśmy jeszcze z wrażenia, gdy z naprzeciwka ujrzeliśmy idącego w naszym kierunku faceta, który tak nachalnie próbował przyłączyć się do nas. Nie szedł jednak sam. Prowadziło go dwóch radzieckich żołnierzy ze „sztykami” na karabinach. Popatrzyliśmy na siebie ze zdziwieniem, ale tak jak byśmy się nie znali. W takich sytuacjach lepiej jest dla obu stron nie znać się. Przyspieszyliśmy kroku, żeby jak najprędzej znaleźć się na dworcu. I tu znowu zaskoczenie. Przy wejściu do hali dworcowej stoi żołnierz radziecki i nie wpuszcza nikogo. Co robić? Dostrzegamy w tłumie jakiegoś podoficera. Podchodziliśmy do niego.

- Komandir, tłumaczmy mu, wojna się skończyła. My musimy wracać do domu, do Wilna. Na nas czekają żony, dzieci, kartoszki, które trzeba wykopać, żeby w polu nie pomarzęły.

- No to wsiadajcie do pociągu i pojeżdżajcie.

- Kiedy przy wejściu na dworzec stoi wasz żołnierz i nie wpuszcza.

- To trzeba poprosić.

- Prosiłmy, nie pomogło, ale jak wy mu powiecie by nas wpuścił, to was na pewno posłucha.

- No to chodźcie .

Zamienił parę słów z żołdatem i rzeczywiście pomogło. Odetchnęliśmy z ulgą, poczuliśmy się bezpieczniejsi. Dowiedzieliśmy się ,który skład odejdzie na Sarny i pilnowaliśmy go jak oka w głowie. Dosuszaliśmy przy tym ubranie , bo wyjrzało słońce. Koło południa pociąg ruszył.

Odtąd będziemy się trzymać uparcie linii kolejowej. Było to konieczne, biorąc pod uwagę odległość , jaka nas dzieliła od Wilna, ale stwarzało dwa problemy. Pierwszym była aprowizacja. Takich głodomorów jak my ciągnęło tą linią tysiące. Drugi problem stanowiło zagrożenie wywiezienia nas do Związku Radzieckiego. Wspomniane wydarzenia w Łucku uświadomiły nam to niebezpieczeństwo. Ta obawa potwierdziła się jeszcze na dworcu w Sarnach, gdzie grupa polskich dziewczyn zorganizowała pikietę, która

ostrzegała chłopców w mundurach , że sowioci wywożą całe pociągi polskich żołnierzy w kierunku wschodnim. Toteż bardzo pilnie baczylismy na krzyżówkach kolejowych ,jaki kierunek biorą nasze pociągi. Tak np. było w Łunińcu gdzie skończył się nam pociąg i musieliśmy szukać następnego. Na torach stały aż trzy składy , ale nie wiadomo było, który odjedzie pierwszy. Pchnęliśmy do maszynistów Ziuka, żeby zasięgnął języka. Chwilę po jego odejściu rusza ten z lewej. Skaczemy więc ze Stachem , ale tylko na bufory, bo niedaleko za stacją znajduje się krzyżówka. Wypatrujemy jej pilnie. Jest. Pociąg pruje prosto na północ. Dopiero teraz wdrapujemy się do otwartego towarowego wagonu. W Branowiczach czyhała na nas nowa przygoda.

Pociąg zatrzymał się na stacji i nie było wiadomo kiedy ruszy w dalszą drogę. Więc Stach mi powiada:

- Wiesz mnie kiszki tak marsza grają , że aż mnie ściska w dołku. Skocz na miasto, może znajdziesz coś do jedzenia.
- Dobrze, zaryzykuję.
- Ale weź i menażkę, ( mieliśmy taką z pokrywką), może i zupy dostaniesz.
- Też masz wymagania, a pociąg nie będzie czekał. Ale daj, zobaczymy.

Biegiem popędziłem na miasto, rozpytując, gdzie można kupić chleba. Piekarnia <sup>znajdowała się</sup> była dość daleko od dworca, ale chleb jeszcze był. Dawali pół bochenka na osobę. Prosiłem o drugą połówkę dla kolegi. Odmówili. W drodze powrotnej wpadam do restauracji, jednej, drugiej, za tą nieszczęsną zupą. Będzie dopiero za godzinę. W trzeciej ta sama sytuacja. Pytam więc o kawę:

- Będzie za chwilę
- To znaczy jak prędko?
- Za kwadrans

Wreszcie mam kawę. Wlewam do menażki i galopem na dworzec. W biegu kupuję jeszcze kilka dużych jabłek. Ale będzie ucztą !Dobiegam do przejazdu; blisko po prawej ręce stacja. Przyspieszam kroku. Pociąg był szybszy. Przeciął mi drogę. Wagony nabierają rozpędu. Wypatruję Stacha. Jest, patrzy w moim kierunku. Podnoszę do góry chleb i menażkę. Załamał rękę.

Zostałem sam. Poszedłem już bez pośpiechu na peron, z dala od budynku dworcowego znalazłem ławkę, rozłożyłem zdobyte zapasy i już zabierałem się do jedzenia, gdy po drugiej stronie niewysokiej siatki okalającej peron dostrzegłem cywila z wypchaną koszałką. Na samym wierzchu pysznił się żółto-czerwony ser w kształcie połówki młyńskiego kamienia. O jej ! żeby choć listek dostać takiego sera, a nie brakowałoby mi nic do szczęścia. Podbiegłem do siatki.

- Panie! Sprzedaj mi pan trochę tego sera.

-Nie mogę, bo to nie mój. Sąsiada.

-Powiedz pan, że głodny żołnierz prosił i odstąpiłeś. Zapłacę.

-Od żołnierza pieniędzy brać nie będę. Pan Bóg by mnie pokarał, ale trochę odstąpić mogę; za darmo.

Ukroił grubą pajdę, podał ponad siatką. Mógłbym przysiąc, że nigdy w życiu lepiej nie ucztowałem. Zastanawiałem się, kto lepiej na tej całej przygodzie wyszedł: Stach, czy ja ?

Posilony do syta mogłem teraz przetrzymać choćby całą noc. Do rana powinien się nadarzyć jakiś pociąg. Byle tylko nie przespać. Za dnia sprawa była prosta: pilnowałem peronu. Gdy zapadł zmrok zrobiło się chłodno. Zimno łatwo dawało sobie radę z żołnierskim płaszczem i marynarką. Schroniłem się więc do wielkiej dworcowej hali z pustym bufetem w jednym końcu. Była wypełniona po brzegi. Na posadzce na ławkach, na bufecie, pod bufetem leżeli, siedzieli umęczeni, rozespani podróżni, przeważnie żołnierze. Z trudem znalazłem sobie miejsce, by trochę przycupnąć. Ogarnęło mnie przyjemne ciepło, ale wraz z nim morzył ~~mi~~ sen. Żeby go odpędzić wdałem się w rozmowę z sąsiadem, a gdy nam zabrakło tematów, umówiłem się z nim, że będziemy czuwać na zmiany po godzinie. Niestety nie dotrzymał umowy i gdy ja spałem, on gdzieś się ulotnił. Byłem więc zdany na siebie. Dla ocucenia się postanowiłem zażyć spaceru po peronie. Przy drzwiach wejściowych nadziałem się na krasnoarmiejca z pepeszą. Trzymał wartę.

-A ty kuda?

-Do ustępu.

-No, tak idzi, ale siej czas wierni sia.

Poszedłem daleko aż za koniec peronu, tak żeby wsiąknąć w mrok i przez godzinę chodziłem tam i nazad. Wracam ostrożnie, wyteżam wzrok; przy wejściu na dworzec nie ma warty. Ulokowałem się wewnątrz, blisko drzwi w kucki na posadzce, walczyłem heroicznie

z opadającymi powiekami, napiąłem słuch. Zaczynało już szarzeć, gdy doszedł mnie jakby jakiś szum. Stawał się coraz wyraźniejszy, narastał. Zerwałem się na równe nogi i skoczyłem do drzwi. Komuś nadepnałem na nogę, kogoś trąciłem w bok, co się nie obeszło bez protestów rozespanych ofiar, ale w kilkanaście sekund byłem na peronie. Za jakąś minutę od strony Łunińca wtoczył się pociąg i to osobowy! Błyskawicznie wskoczyłem do środka, zaszyłem się w najciemniejszy kąt mrocznego przedziału. Na peron wybiegła gromada żołdatów z pepeszami nawołując, żeby „polskije bajcy” nie wsiadali do pociągu, bo dla nich będzie osobny pociąg, a na razie dostaną zupę i przydział żywności. Kiedy to nie odnosiło żadnego skutku, zaczęli ogłaszać, że ten pociąg nie idzie do Wilna. Postanowiłem to sprawdzić. Peronem szedł w moim kierunku polski kolejarz. Nie było w pobliżu sowieckich żołdatów. Otworzyłem szybko okno i nie wychylając się zapytałem:

-Panie, dokąd ten pociąg ?

-Do Wilna.

-Dziękuję.

Wtuliłem się znowu w ciemność, modląc się o jak najszybszy odjazd. I rzeczywiście za chwilę pociąg ruszył. Już bez żadnych przeszkód około godziny dziesiątej dotarłem do Wilna. Za chwilę klęczałem w Ostrej Bramie, dziękując Matce Miłosierdzia za opiekę. Gdyby nie Ona, mogłoby przyjść to najgorsze: Katyń. W domu zastałem Stacha i Ziuka. Przybyli dwanaście godzin przede mną. Opowiadał mi Stach, że nie długo po naszej rozłące wsiadł do jego wagonu człowiek, który miał bochenek chleba. Takiej okazji nie wolno przegapić. Więc zwraca się do tego człowieka i mówi:

- Sprzedaj mi pan tego chleba.

A tamten odpowiada:

-A co mi po pieniądzach?

-Rozumiem. A ma pan dzieci?

-A co panu do moich dzieci?

-Ale powiedz pan, masz pan dzieci?

-Jeśli chcesz pan koniecznie wiedzieć, to mam.

-Widzi pan, bo ja mam czekoladę, to może zrobimy wymianę: czekolada za chleb.

-A dużo masz pan tej czekolady?

-Przeszło pół kilograma.

-I jak pan chcesz wymienić?

-Według wagi, jeden na jeden.

I tak dobili targu. Stach się dziwił, że facet na to przystał. Z pewnością nie mniej zdziwiony był ów cywil.

## Narodziny Komórki Legalizacyjnej X. 1939.

Tak więc ostatniego dnia miesiąca września znaleźliśmy się wszyscy trzej w zacisznych murach jezuickiego klasztoru w Wilnie. Rychło jednak mieliśmy się przekonać, że wojna trwa nadal, również w naszym Wilnie. Zapisaliśmy się wprawdzie na rok akademicki 1939/40, ale na uczelni panował nastrój jak po pogrzebie. Grono i wykładowców, i studentów zostało mocno przetrzebione. Wszyscy byli przytłoczeni wrześniową klęską. Nikt o tym nie rozmawiał, ale to głęboką zadrą tkwiło na dnie duszy. A przy tym niepewne były dalsze losy uczelni. Władze radzieckie niewiele się tą sprawą interesowały. Dla nich najważniejszym problemem było wywieźć z Wilna, co tylko dało się załadować na pociągi, lub ciężarówki, poczynając od zapasów żywności poprzez archiwalne zbiory biblioteki Wróblewskich, aż po kompletne wyposażenie różnych fabryk, jak choćby „Elektrit „ produkujący znakomite radioodbiorniki. 28.X.'39 Wilno przeszło w ręce litewskie i już za trzy tygodnie, 20.XI. nowe władze nazaczyły likwidatora uniwersytetu w osobie profesora Ignasa Končiusa. Uporał się on z tym zadaniem w ciągu 25 dni. 15 grudnia Uniwersytet Stefana Batorego został zlikwidowany.

Mimo tak beznadziejnej sytuacji nie zabrakło ludzi, którzy nie złożyli broni. Powstawały, jak grzyby po deszczu konspiracyjne grupy. Zresztą i ogół społeczeństwa dość szybko otrząsnął się z zapaści i odrętwienia. Toteż kiedy do Wilna dotrą 29 XI podpułkownik Nikodem Sulik i major Aleksander Krzyżanowski wysłani przez generała Michała Tokarzewskiego, głównego dowódcę Służby Zwycięstwu Polski, by zorganizować dowództwo okręgu, zastała tu dynamicznie rozwijającą się konspirację, ale rozbitą na kilkadziesiąt ugrupowań (L. Tomaszewski „Kronika Wileńska” str. 77). Delegaci przybyli z Warszawy mieli więc niełatwe zadanie, stworzyć z tych zróżnicowanych elementów jedną zwartą organizację. Na szczęście znalazł się w Wilnie człowiek, który się cieszył wielkim niekwestionowanym autorytetem, ogromnie przy tym zaangażowany w sprawy społeczne i konspiracyjną robotę. Był nim wspomniany już ks. Kazimierz Kucharski, jezuita. Zresztą kiedy dowództwo główne wysyłało swoich przedstawicieli do Wilna, dało im polecenie skontaktowania się najpierw z O. Kucharskim. Dzięki jego aktywnej pomocy już 28 grudnia



w jezuickim klasztorze doszło do spotkania delegatów liczących się organizacji wojskowych i politycznych oraz reprezentanta kurii arcybiskupiej, na którym zapadła decyzja, że wszystkie organizacje polskie na terenie Wileńszczyzny będą podporządkowane Służbie Zwycięstwu Polski i rządowi Polskiemu we Francji i że będzie tylko jedna podziemna armia polska. Na boku pozostali tylko komuniści, bo powszechnie uchodzili za kolaborantów wysługujących się okupantowi sowieckiemu. I decyzja ta nie pozostała na papierze. Była ona ściśle realizowana w praktyce. Społeczeństwo polskie na Kresach północno-wschodnich знаło tylko jedno niepodzielone podziemie i jedną partyzantkę : „białą” - czytaj AK. Istniała wprawdzie i „czerwona” , ale ta nie była polska.

Swoją działalność konspiracyjną rozpoczął o. Kucharski wkrótce po wkroczeniu armii sowieckiej do Wilna (19 IX). Zdecydowana większość służb mundurowych wileńszczyzny zdążyła przed inwazją sowiecką wycofać się na Litwę i na Łotwę. I tak granicę litewską przekroczyło ok. 9500 żołnierzy i podoficerów, ok. 3000 oficerów wojska polskiego oraz ok. 2000 policjantów ; razem ok. 14500 ludzi. Do Łotwy przeszło co najmniej 3000 wojskowych w tym ok. 300 lotników. (L. Tomaszewski „Kronika Wileńska” str. 26-27) Umieszczono ich w specjalnych obozach. Jak najwięcej tych ludzi należało wyciągnąć z obozów i wciągnąć do konspiracji, albo nawet wysłać na Zachód by zasilić tworzącą się we Francji Armię Polską. Ale do tego potrzebne były lewe dokumenty.

Początkowo nasza praca była prosta. Wypisywaliśmy fikcyjne dane klienta na autentycznych drukach, które o. Kucharski zdobywał od różnych likwidujących się polskich urzędów. Ale druki wyczerpywały się dosyć prędko. A przy tym mieliśmy kłopoty z pieczętkami. Pamiętam jak ze Stachem próbowaliśmy rozwiązać ten problem metodą galwanoplastyki. Nie wyszło. Podobny rezultat dały chałupnicze próby cynkografii . Decydująca okaże się tu pomoc Jerzego Hoppena , docenta Wydziału Sztuk Pięknych USB, który skieruje produkcję pieczęci i pomniejszych druków na ścieżkę zawodową i zwerbuję dla legalizacji dwóch braci Warakomskich. Staną się oni głównymi filarami Komórki Legalizacyjnej od grudnia 1939r. aż poza koniec wojny. Hoppena wynalazł oczywiście nieoceniony o. Kucharski, który patronował tej całej robocie.

Nie będę kreślił historii Komórki ; ukazała się na ten temat bardzo dobra monografia napisana przez Romualda Warakomskiego. Rzucę jedną, drugą uwagę , przytoczę jeden , drugi epizod.

Bez wątpienia najwięcej inicjatywy w tym wstępnym okresie działalności naszego zespołu okaże Stach. Jego o. Kucharski skontaktuje z Hoppenem. On będzie niezawodny w podrabianiu podpisów. Pod tym względem doszedł do niezwyklej wprawy. Gdy dostawał stos dokumentów do sygnowania jednym nazwiskiem, to pierwsze dwa, trzy egzemplarze podpisywał patrząc na pierwowzór, a następne szły już na pamięć i nie sposób było odróżnić falsyfikaty od oryginału.

Zapotrzebowanie na lewe dokumenty było ogromne; nasilało się ono przy zmianie okupanta, bo to z kolei wiązało się ze zmianą dowodów tożsamości. Za okupacji litewskiej (28 X 1939 - 15 VI 1940) , sowieckiej (15 VI 1940 - 23 VI 1941) i na początku niemieckiej (od 24 VI 1941) metryka chrztu była chyba najczęściej podrabianym dokumentem. Ona bowiem stanowiła podstawę do otrzymania innych papierów. Właśnie z metrykami wiążą się moje dwa znaczące wspomnienia.

Wkrótce po zajęciu całej Litwy przez wojska radzieckie (15 VI 1940 ) udałem się z moim przyjacielem Ziukiem Wieteską do odpowiedniego urzędu dla wyrobienia sobie potrzebnego dowodu tożsamości. Czekamy w kolejce na korytarzu. Z biurowego pokoju wychodzi jakaś zrozpaczona klientka i woła do drugiej stojącej na korytarzu:

-Niech pani popatrzy, metryki mi nie uznali!

Ścierpła mi skóra. Podszedłem bliżej do tej zrozpaczonej.

-Może pani pokaże tę metrykę.

Popatrzyłem - metryka była najautentyczniejsza w świecie. I w tym momencie ta druga pani wyjmując metrykę naszej produkcji i pokazując ją tej pierwszej, powiada:

-Bo proszę pani, taką metrykę trzeba mieć. Ja nie miałam żadnych trudności.

Drugie wspomnienie wiąże się z okupacją niemiecką. Było to na przełomie roku 1941 na 42. Przysłały mi raz znajome siostry zakonne niecodzienną interesantkę: żydówkę, która przyjęła chrzest gdy wychodziła za mąż za Polaka. Nie poszła do getta, tułała się po polskich rodzinach, zagrożona sama i stwarzająca zagrożenie dla innych. Nie posiadała żadnych dokumentów osobistych, bo te zdradzałyby tylko jej żydowskie pochodzenie.

Wystawiłem jej metrykę wydaną rzekomo w Starej Wsi k. Brzozowa (dawne woj. krośnieńskie). W tej metryce jej rodzice nosili chrześcijańskie imiona i polskie nazwiska.

I powiedziałem jej tak:

-Metryka nie ma prawa wpaść. Żaden gestapowiec czy biuralista nie rozpozna, że jest podrabiana. Nie ma pani żadnych innych dokumentów, bo je straciła. Ale na tę metrykę wyrobi sobie pani oficjalnie wszystkie inne dokumenty jakie będą potrzebne. Proszę tylko wyuczyć się dobrze swoich nowych danych personalnych. Z wdzięczności podarowała mi ciepłe skórzane rękawiczki. Przekazałem je Stachowi; bo nie miał żadnych. Parę miesięcy później zostałem osadzony przez gestapo w wileńskim więzieniu Łukiszki i po 7 miesiącach odesłany do „Internierungslager” w Poniewieżyku pod Kownem. Wróciłem stamtąd do Wilna w pierwszych dniach sierpnia 1944 r. Tegoż roku 3 października miałem wraz z sześciu współbraćmi kapłańskie święcenia w ostrobramskiej kaplicy. Po otrzymaniu święceń z rąk arcybiskupa Romualda Jałbrzykowskiego przeszliśmy do zakrystii większej. Tam nasi przyjaciele składali nam życzenia. Podeszła do mnie jakaś pani, której nie mogłem zidentyfikować, choć twarz wydała mi się znajoma. Spostrzegła to i mówi do mnie;

-Ojciec mnie pewno nie poznaje.

-Ma pani rację.

-Lochyńska jestem.

-Ach! Lochyńska! Rzeczywiście! I jak pani przeżyła wojnę?

-Dzięki tej metryce, którą ojciec mi dał.

-A co pani robiła w tym czasie?

-Zgłosiłam się na służącą do gestapowców.

Sprawdziło się powiedzenie, że najciemniej jest pod latarnią.

## Nasza przyjaźń

Po raz pierwszy spotkaliśmy się 8.08.1928r. Tego dnia bowiem obaj stawiliśmy się w Kaliszu, by rozpocząć jezuicki dwuletni nowicjat. Było nas w sumie na dwóch rocznikach czterdziestu kilku, w tym około dziesięciu braci, czyli tych, którzy chcieli pomagać zakonowi w sprawach materialnych. Reszta aspirowała do kapłaństwa.

Od samego początku ciągnęło mnie coś do Staszka. Może i nazwa rodzinnego powiatu: Rawicz i Łowicz, to brzmiało tak podobnie. Może to, że pochodził z Poznańskiego, a dla nas w Kongresówce Poznańskie było przykładem ładu, organizacji, gospodarności. Zresztą Wielkopolska nie całkiem była mi obca. Przez półtora roku wychowywałem się u sióstr urszulanek w Pniewach. Z kolei Poznaniacy wsłuchiwali się w polską mowę idącą z Warszawy, którą uważali za czystsza i poprawniejszą od swojej.

Miało na pewno swoje znaczenie i to, żeśmy pochodzili z bliźniaczo podobnych środowisk rodzinnych. Jego rodzice mieli wówczas siedmioro dzieci, moi rodzice mieli również siedmioro, z tym że nas było dwóch braci i pięć sióstr, u Stacha było pięciu braci i dwie siostry. Mój ojciec siedział na gospodarstwie dwunasto- hektarowym i miał dwa konie, kilka krów i kilka sztuk nierogaczyny, jego ojciec siedział na 9 hektarach, miał dwa konie, kilka krów i kilka sztuk nierogaczyny. Jego ojciec prowadził pasiekę liczącą do 40 roi, mój ojciec również miał pasiekę dochodzącą do 30 uli. Jego ojciec parał się stolarką na miarę domowych i gospodarskich zapotrzebowań, mój ojciec miał również warsztat stolarski, z którego wychodziły, stoły, ławy, ule. Jego ojciec służył w wojsku pruskiego zaborcy, mój ojciec odbywał służbę wojskową w armii carskiej, z tym że miał więcej szczęścia, w czasie wojny: nie <sup>przed przyjściem Niemców do Łowicza</sup> zdążono go zmobilizować i przez całą pierwszą wojnę światową pozostał w domu. Stach urodził się we wsi, która ongiś należała do arcybiskupów gnieźnieńskich, ja urodziłem się w księstwie łowickim, które całe było własnością prymasów.

O przyjaźni jednak decydują na pierwszym miejscu cechy osobiste. Ktoś powiedział, że przyjaźń wartościowa rodzi się na bazie różnicy usposobień przy uznawaniu tych samych nadrzędnych wartości. Wartościami najważniejszymi, niekwestionowanymi były prawdy,

zasady chrześcijańskie, w których nas wychowano od dzieciństwa i ideał kapłaństwa, szczyt naszych marzeń i dążeń. Gdy idzie o temperament różniliśmy się znacznie. Stach był pogodny, spontaniczny, żywiołowy, szczery i otwarty, bez maski, życzliwy dla drugiego człowieka. Miał szybki refleks i szybką decyzję, stąd nieraz wkładał więcej wysiłku jak się wydobyć z tarapatów niż jak do nich nie dopuścić; ale świetnie sobie przy tym radził. Ze mnie był raczej intrawertyk, zamknięty w sobie, bardzo nieśmiały, bojący się ludzi obcych, nieznanymi, zazdrosny o swoją wolność, nie znoszący prób zdominowania zawładnięcia mną. Ale Stach nigdy nie próbował się narzucać i dlatego nasza przyjaźń była tak udana. Ważne decyzje rodziły się u mnie powoli bo musiałem wszystko przemyśleć do końca. Przy tym obaj byliśmy uczynni otwarci na wspólnotę. Przełożeni nigdy nie mieli zastrzeżeń do naszej przyjaźni, bo wiedzieli, że jeżeli kogoś z nas zaangażują w jakąś sprawę, to w razie potrzeby mogą liczyć na dwóch. Wiedzieli o tym i koledzy.

Chyba nie można powiedzieć, że nasza przyjaźń skryształizowała się już w nowicjacie. Życie bowiem nowicjackie było bardzo wspólne, wychowanie bardzo sterowane, doskonale przemieszanie wszystkich z wszystkimi. Traktowano nas trochę jak rekrutów przed przysięgą, ale dawano nam motywy nadprzyrodzone, tak że spełnialiśmy wszystko z wewnętrznym przekonaniem. Na indywidualne przyjaźnie nie było miejsca. Można więc w tym okresie mówić tylko o jakiejś żywej między nami sympatii. Przyjaźń prawdziwa rozwinię się dopiero po nowicjacie, szczególnie w czasie trzyletniego pobytu w Pińsku, gdzie szliśmy razem do matury. Dorzucę jeszcze jedną, wspólną cechę: zamiłowanie do „psych figłów”. Oto przykład właśnie z Pińska. Leżał na korytarzu kawał szyny kolejowej. Najmocniejsi z nas potrafili podnieść ją ponad głowę, średni siłacze tylko do pasa, słabeusze nie dawali rady oderwać jej od ziemi. Mieszkaliśmy wtedy w jednym pokoju: Staszek, ja i Wojtek Kachniarz. Ten ostatni należał do słabeuszów. Pewnego dnia przed spaniem, gdy cała wspólnota zbierała się na 10 minutową modlitwę w kaplicy, zaczekaliśmy ze Stachem aż Wojtek wyjdzie z pokoju i szynę leżącą tuż obok na korytarzu wepchnęli do jego łóżka. Przykryliśmy ją prześcieradłem, a łóżko doprowadzili do porządku, żeby nic nie rzucało się w oczy. Po czym Stach popędził do kaplicy, ale ja jeszcze się zatrzymałem. Wyjąłem szynę z łóżka Wojtka, umieściłem w łóżku Stacha i prędko zbiegłem do kaplicy. Po powrocie do pokoju przygotowujemy się do snu. Szybko gasimy światło, żeby nie zdekonspirować szyny i czekamy ze Stachem na reakcję

Wojtka, gdy będzie kładł się do łóżka. Wojtek położył się i - nic. Stach zbaraniał. Rozbiera się i próbuje odgadnąć, co się stało. Dopiero, kiedy sam wchodził pod kołdrę, zrozumiał. „O zdrajco!” zawołał do mnie, dusząc się ze śmiechu.

Nasza zażyłość, nie przyjaźń, ze Stachem zaczęła się rwać w czasie wojny. Najpierw pod koniec grudnia 1939 r. on zamieszkał na mieście, ja pozostałem w klasztorze. Ale pracowaliśmy nadal obaj w Komórcie Legalizacyjnej, więc spotykaliśmy się często. W listopadzie 1941 r. Stach odchodzi do kwatermistrzostwa, kontakty stają się coraz rzadsze, wreszcie urywają się całkowicie, gdy ja wraz z całą zakonną wspólnotą jezuicką z Wielkiej zostaję aresztowany i osadzony na Łukiszkach 26.III.1942 r. Spotkaliśmy się znowu w obozie internowanych w Poniewieżyku pod Kownem dokąd przyjechał, by mnie odwiedzić. Było to latem 1943 r. Pamiętam moment jego spotkania z komendantem naszego obozu, litewskim gestapowcem. Stach podchodzi do niego energicznym krokiem, by mu podać rękę. Ten cofa obie ręce do tyłu, jakby się wystraszył. Chyba tak było rzeczywiście, bo zawsze przyjeżdżały do nas z Wilna kobiety, przywożąc żywność i ciuchy, a tu nagle młody, wysoki dryblas, w białym garniturze, który tak bezceremonialnie chce się z nim przywitać!

W początku sierpnia 1944 wróciłem z obozu do Wilna. Nastąpiły dla mnie dni bardzo intensywne przygotowań do święceń kapłańskich, które otrzymałem w ostrobramskiej kaplicy 3 października. Niedługo potem objąłem parafię w Juraciszkach ok. 100km na płd.-wschód od Wilna, w sytuacji katastrofalnej: kościół bez krzyży, idealnie pusty, bo przeszło pół roku służył za meczet mahometańskim Uzbekom z armii Własowa. Plebania zajęta przez władzę radziecką, same Juraciszki do połowy wypalone, po wioskach ogniska tyfusu plamistego. W tym czasie ~~władza radziecka~~ <sup>WJRW</sup> systematycznie i bezpardonowo niszczyła ~~Armię~~ <sup>Armię</sup> Krajową i polskie podziemie, więc Stach czuł się osaczony i musiał być bardzo ostrożny w kontaktach. Mimo to spotykaliśmy się czasem ~~zanim~~ <sup>dopóki</sup> nie został aresztowany 23.I.1945r. To już była rozłąka na lata. Obawiałem się, że może na zawsze.

A przecież przeżyłem wówczas jeszcze jedno z nim spotkanie, jeśli to tak można nazwać. W trzy tygodnie po aresztowaniu Stacha zachorowałem w Juraciszkach na tyfus. Przez dziesięć dni leżałem nieprzytomny z temperaturą powyżej czterdziestu stopni. Straciłem kontakt ze światem zewnętrznym, za to głowa wypełniła się majaczeniami, które były nie mniej wyraziste niż rzeczywistość. W jednym z nich pojechałem do Wilna. Na zasadzie prawa

bilokacji (jego możliwość dyskutowaliśmy na studiach filozoficznych) przeniknąłem przez mury więzienia ,odszukałem Stacha w samotnej celi i ugadaliśmy się serdecznie. Był zatroskany, jak wydam się z więzienia. Odpowiedziałem, że tak jak przyszedłem, bo moje konkretne, fizyczne ciało jest poza więzieniem. Gdy zacząłem odzyskiwać przytomność, przyjechała do mnie z Wilna jezuicka „ciocia”, która odwiedzała nas w obozie. Pierwsze moje pytanie było : Co ze Stachem? Niestety siedzi -brzmiała odpowiedź.

Gdy zapadł wyrok :15 lat katorgi odetchnąłem z pewną ulgą: lepsze to niż kara śmierci, której nie wykluczałem. Dopóki człowiek żyje, wszystko jest możliwe. Gdy w październiku 1945r. został wywieziony do Workuty, liczyłem na to, że może uda mi się nawiązać z nim kontakt, czy nawet w jakiś sposób pomóc. Po długich staraniach dostałem jego adres, w marcu 1946r. chyba od Józefy Kafarskiej, z którą miałem dobre kontakty, bo jej brat ksiądz prałat Kafarski był proboszczem w Iwiu, a więc moim sąsiadem i dziekanem. Niestety otrzymałem od przełożonych z Warszawy polecenie wyjazdu do PRL-u. Pisałem odwołanie, tłumaczyłem, że tu na Kresach pozostanie sporo Polaków, i coraz bardziej będzie brakowało księży, będą jak owce bez pasterza; że chcę przy tym zaopiekować się Stachem, może uda mi się posyłać mu jakieś paczki do obozu. W odpowiedzi otrzymałem kategoryczny rozkaz: wracać. Przekazałem więc adres Stacha mojemu współbratu zakonnemu i koledze od czasów nowicjackich, który pozostał na parafii w Wiszniewie, a sam wyjechałem z Juraciszek jako repatriant w niedzielę 6.IV i 9.IV znalazłem się w Warszawie. W Polsce ludowej próbowałem sprawą Stacha zainteresować różne oficjalne czynniki, kołatałem do różnych drzwi. Okazało się to czystą mrzonką. Nie dało się zrobić nic. Może tymi wspomnieniami spłacę choć w części dług przyjaźni, którego wówczas nie dało mi się uiścić.

## Odejście z zakonu

Może ktoś z czytelników będzie zaskoczony, że problem opuszczenia zakonu przez Stacha Kiałkę, umieszczamy dopiero tutaj. Czyżby cała działalność wojenna tego, który stał się legendą wileńskiego podziemia, dziesiątki niezwykłych pomysłów, brawurowe akcje i ucieczki, niejednokrotne przekraczanie granic należało przypisać jezuickiemu klerykowi? Oczywiście - tak!. Czy jednak, kiedy Stach pod koniec grudnia 1939 roku odszedł z klasztoru i zamieszkał przy ulicy Świętojakubskiej, a następnie od września 1940 roku na prośbę Komendy otrzymał zgodę przełożonych zakonnych, by całkowicie oddał się pracy w Podziemiu, czy, pytam, nie oznaczało to wystąpienia z zakonu? Nie. Bo więzią prawną i realną wiążącą zakonnika z zakonem są trzy zakonne śluby: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Był więc Stach jezuitą, oddelegowanym do pracy w Podziemiu. Był nim i wówczas, gdy powrócił z Workuty. Miał prawo wrócić do klasztoru, przełożeni mieli obowiązek go przyjąć.

Istniała jednak i druga możliwość: zwolnienie się ze ślubów i odejście z zakonu. Kościół taką możliwość przewiduje, gdy zachodzą po temu odpowiednie racje. Stach wybierze to ostatnie rozwiązanie. Dlaczego? To pytanie stawiali sobie jego najbliżsi przyjaciele związani z nim wojennymi losami i powojenna, katorgą. Niektórzy dawali taką odpowiedź: Stach nie miał powołania duchownego. Do zakonu wstąpił pod wpływem matki, która marzyła o tym, żeby mieć syna księdzem i w tym duchu wychowywała go od dziecka; a gdy tylko przyszła po temu możliwość wysłała go do nowicjatu. A Stach, jeśli nawet później zorientował się, że się pomylił, pozostawał dalej u jezuitów, żeby oszczędzić matce srogiego zawodu. Otóż takiego tłumaczenia przyjąć nie mogę, nawet, gdyby ktoś powoływał się na Stacha. Nie wykluczone, że i Stach mógł do kogoś wypowiadać się w tym duchu. Nie chciał wchodzić w zawyżone bardzo osobistej i delikatnej sprawy, więc na „odczepne” podawał tłumaczenie najprostsze. Na jakiej jednak podstawie tak stanowczo odrzucam powyższe tłumaczenie odejścia z zakonu Stacha po powrocie z Workuty? Na podstawie dwóch argumentów.

Argument pierwszy, to bardzo bliska znajomość Stacha. Dwanaście lat serdecznej przyjaźni, mieszkania pod jednym dachem, często we wspólnym pokoju; dzieliliśmy ten sam tryb życia, wyznawaliśmy te same wartości, dążyliśmy do tych samych ideałów zmierzaliśmy do tego samego celu, żywiliśmy do siebie pełne zaufanie i nigdy nie zauważyłem u niego



wątpliwości co do powołania kapłańskiego czy zakonnego. Czuł się w zakonie, użyję znowu tego wyrażenia, jak ryba w wodzie. Czy mógłby przez tyle lat udawać, on taki szczerzy, otwarty? Nieprawdopodobne.

Argument drugi to moja znajomość powołania duchownego. Ta znajomość wynikała nie tylko z przeżywania powołania własnego, ale i z obowiązków pełnionych w zakonie. Przez 10 lat byłem mistrzem nowicjatu. Odpowiadałem nie tylko za formację coraz to nowej grupy kilkudziesięciu chłopców rozpoczynających życie zakonne, ale musiałem nieraz przeprowadzać rozeznanie, czy ktoś jest na swoim miejscu w zakonie, czy też może powinien wrócić do życia świeckiego. Przez lat 6 sprawowałem urząd przełożonego całej prowincji i podpisywałem nieraz dekrety dymisji ludzi odchodzących od nas po kilku latach życia zakonnego. A i poza tym przez 70 lat mojego pobytu w zakonie byłem świadkiem niejednej dymisji i starałem się dociec jej przyczyn. Na podstawie tych doświadczeń mogę powiedzieć, że jeśli Stach nie miał autentycznego powołania do zakonu, to i ja go nie miałem, to nie miał go żaden z naszych kolegów, a to przecież absurd.

Przez to, co powiedziałem nie chcę pomniejszać roli matki. Na pewno przez swą postawę na wskroś chrześcijańską i zasady wszczepiane synowi od dziecka nie mało przyczyniła się do tego by ziarno powołania mogło w jego duszy wykiełkować i rozwinąć się do tego stopnia, że mógł powziąć decyzję oddania się całkowicie na służbę Bogu. Samo jednak powołanie do kapłaństwa, czy do życia zakonnego to dar Boga, to Jego łaska, to wezwanie Chrystusowe. Tylko On może powiedzieć: „Pójdź za mną!”. To też już Apostołom przypominał Chrystus: „Nie wyście Mnie wybrali, ale Ja was wybrałem” (J 15,16).

Jeśli sprawa tak wygląda, oznaczałoby to, że powołanie u Stacha było i zostało zmarnowane. Kto wobec tego zawinił? Czy on, że zanadto zaangażował się w Podziemie, czy przełożeni, że mu na to pozwolili? Bo przecież Stach poświęcił cały swój czas i wszystkie swe siły Organizacji jako pełnoprawny jezuita, po uzgodnieniu z przełożonymi i za ich wiedzą. Czy jednak przełożeni mieli prawo dać swoją zgodę? Przecież wojaczka to nie jest zajęcie właściwe dla księdza czy zakonnika. Tak. Ale pamiętajmy, że to nie była zwykła wojaczka. Chodziło o wolność a nawet o byt narodu, o chrześcijańskie i ludzkie wartości. Toczono walkę z dwoma totalitarnie zbrodniczymi systemami: hitlerowskim i stalinowskim. Była to służba bliźnim, ratowanie tysięcy zagrożonych ludzi. W tę służbę Stach wniósł niepospolite wartości, jak

ogromną ofiarność, całkowitą bezinteresowność, bystrą inteligencję, niezwykłą pomysłowość, wybitne uzdolnienia manualne, nieustraszoną determinację, wielką prawość. Tak bogate wiano to owoc zarówno wrodzonych talentów, jak też rodzinnego wychowania i wreszcie jezuickiej formacji. Nic dziwnego, że obok komendanta okręgu Aleksandra Krzyżanowskiego (Wilk) i o. Kazimierza Kucharskiego, Stanisław Kiałka będzie należał do legendy wileńskiego podziemia. Wśród tych, którzy go bliżej znali czy współpracowali z nim, poczynając od Wilka, cieszył się ogromnym uznaniem i autorytetem. Źródłem tego autorytetu nie były stanowiska jakie piastował, lecz jego osobiste wartości. Mogło tu działać jeszcze i to, że był klerykiem jezuickim, a więc duchowym spadkobiercą w Organizacji o. Kucharskiego.

Z Workuty wraca Kiałka do kraju w grudniu 1956 roku. Po pięciu latach wojennej działalności, w której prawie na co dzień igrał ze śmiercią, po 12 latach katorgi, czyli walki o przetrwanie, walki, która nieraz wydawała się beznadziejną, trzeba było wracać do normalnego życia. I stanął przed nim problem wyboru drogi życiowej. Czy rzeczywiście musiał na nowo wybierać? Czy nie uczynił tego na całe życie składając zakonne śluby po ukończeniu nowicjatu? Czy nie wystarczyło podtrzymać tamten wybór? Tak, wystarczyło. Wracając do Polski, mógł po prostu wrócić do zakonu. Czemu więc nie podjął tego najprostszego rozwiązania? Odpowiadam: bo rozwiązania najprostsze nie zawsze są najłatwiejsze.

Stach Kiałka na zesłaniu miał dużo czasu, by zastanowić się, co dalej po Workucie, o ile przeżyje katorgę i powróci do Ojczyzny. Już tam zaczęła się erozja jego powołania. Jaką widział przed sobą perspektywę? Będzie musiał podjąć studia teologiczne, trwające u jezuitów 4 lata, następnie jeden rok formacji zakonnej tzw. trzecią probację. Jeżeli dodamy razem lata katorgi i studiów dojdziemy do roku 1965. Będzie miał wtedy 53 lata. Czy starczy mu sił, by w tym wieku przy swoim zniszczonym, skołatanim zdrowiu wciągać się w spowiadanie, głoszenie kazań, udzielanie rekolekcji? Nie zapominajmy również o trudzie wciągania się na nowo w zakonne życie. W rzeczywistości, powrót nastąpi o 3 lata wcześniej, ale to nie zmienia w sposób istotny toku rozumowania. Niepokoili go jeszcze jedna sprawa: przeszkody do święceń kapłańskich wynikające z prawa kościelnego, jako następstwo jego działalności w podziemiu. Odbывała się ona nieraz poza granicami prawa, bo i wróg w swej walce z podziemiem z prawem się nie liczył. Dla otrzymania święceń trzeba będzie zwracać się do Rzymu, przedstawiać konkretne wypadki celem uzyskania dyspensy od Stolicy Apostolskiej.

Będzie to w jakiejś mierze cofanie się do tego, co przeżył w Wilnie podczas procesu w gmachu NKWD. A on do tych spraw wracać już nie chciał.

W ~~połowie~~<sup>noczatku</sup> maja 1957 roku przyjechał do mnie do Kalisza, gdzie pełniłem obowiązki przełożonego domu i mistrza nowicjatu. Był ciepły słoneczny dzień. Zaprowadziłem go do pięknego kaliskiego parku. Od 12 lat po raz pierwszy przeżywał wiosnę. Cieszył się jak dziecko. Zachwycał się każdą trawką, każdym pączkiem, każdym liściem. Był zaskoczony, że zieleń aż tyle ma odcieni. Co chwilę przystawał, by lepiej się nasycić urodą zielonego życia.

A potem była rozmowa. Opowiadał mi o powrocie zza koła polarnego: jak po przejechaniu setek kilometrów tundry ujrzeli pierwsze karłowate drzewo - brzozę. Co to była za sensacja! A potem pierwszy ptak - wrona! Jeszcze więcej radości. Opowiadał jak zachorował w Workucie na gruźlicę wskutek pracy w kopalni, jak uratowali go od śmierci przyjaciele, jak potem nie chciał wracać do kopalni żeby go tam znowu gruźlica nie dopadła. Podał się więc za elektromontera i trafił „z deszczu pod rynnę”. Kazali mu bowiem chodzić po drewnianych słupach i przeciągać elektryczne przewody na zewnątrz: raz w deszczu, to znowu w trzaskającym mrozie, albo w śnieżnej zawiei. Więc postanowił zapuścić haczyk na jakiegoś znacznego naczelnika. Ukazał mu najpierw prymityw i brzydotę jego koszarowego i barakowego mieszkania. Powiedział, że w Moskwie, czy Leningradzie ludzie tak ważni jak on to mieszkają w „sałonach” że on z jego mieszkania robi „sałon”, bo jest sztukaterem. Przedstawił mu tak żywo, tak konkretnie, jak on tego dokona, że naczelnik połknął haczyk. Z tą chwilą problem zdrowia miał Stach z głowy: zapewniona praca w cieple, bez norm i na lata. Bo gdy pierwsza próba wypadła wielce zachęcająco, koledzy naczelnika nie chcieli być gorsi od niego.

Przed wszystkim jednak rozmawialiśmy o jego przyszłości. Co dalej? To było głównym powodem jego wizyty w Kaliszu. Przedstawił mi swoje trudności, wątpliwości o których wspominałem wyżej i chciał wiedzieć co ja o tym myślę.

Z tej rozmowy zrozumiałem dwie rzeczy. Najpierw, że jego powrót na drogę życia zakonnego będzie wymagał heroizmu, a po wtóre, że to jest wprawdzie ten sam Stach, którego znałem kilkanaście lat temu, ale zarazem inny człowiek. Coś się w nim, może nie załamało, ale wypaliło, wygasło, skończyło. Tym czymś było jego powołanie duchowne, kapłańsko - zakonne. Czy mogłem w tej sytuacji wyrokować: P. Bóg żąda od ciebie

kontynuowania życia zakonnego? Więc odpowiedziałem mu: pozostanie w zakonie i realizowanie ideałów ignacjańskich będzie wymagało od ciebie heroizmu. Musisz sam rozstrzygnąć czy P. Bóg tego żąda. Nie śpiesz się, otrząśnij się z koszmaru katorgi i spokojnie a trzeźwo zastanów, jak to zaleca P. Jezus w Ewangelii św. Łukasza, czy dasz radę wyremontować nadszarpniętą wypadkami losu wieżę twego powołania, którą zacząłeś wznosić tu w Kaliszu prawie 30 lat temu i doprowadzić jej budowę do końca, czy roztropniej będzie zadowolić się stworzeniem skromnego rodzinnego domu. Uważam w każdym razie, że istnieją poważne motywy poproszenia o zwolnienie z zakonu. Ale jakkolwiek podejmiesz decyzję, chciałbym, byśmy nadal pozostali przyjaciółmi.

Stach poprosił o dymisję i otrzymał ją 12 marca 1958 r. Na końcu wraca znów jak bumerang pytanie: Czy miał powołanie duchowne? Jeśli tak, czy je zmarnował?

Na pierwszą część tego pytania odpowiedź jest prosta: miał. Na drugą część nie ma prostej odpowiedzi, bo pytanie jest bałamutne. Co to znaczy: zmarnował? Dziś, szczególnie od soboru watykańskiego II Kościół mocno podkreśla swoją służebność nie tylko w stosunku do Boga, ale i do człowieka. A więc i powołanie duchowne otrzymuje się od Boga po to, by lepiej służyć i Bogu i człowiekowi. Zapytajmy więc, czy jego służba Ojczyźnie, tak heroiczna, tak bezinteresowna nie była owocem jego powołania? Przeszło 50 lat służy w Kościele swoim kapłaństwem, jak umiem, a nie odważyłbym się powiedzieć, że więcej dobrego uczynił swoim bliźnim niż on. Żeby zaś osądzić, czy po powrocie z Workuty stać go było na dalszy heroizm, kontynuowania drogi do kapłaństwa i czy Pan Bóg tego od niego żądał, na to nie wystarczą teoretyczne rozważania zza biurka; trzeba by z nim przeżyć pięć lat walki podziemnej z ciągłym ryzykowaniem życia, przeżyć śledztwo z torturami w NKWD, przeżyć kilkanaście lat katorgi w Workucie z nikłą nadzieją powrotu w ojczyste strony.